

**Amy Andrews**

# **Lekarz z miasta**

*(Single Dad, Outback Wife)*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy malutki samolot wpadł w kolejną turbulencję, Andrew Montgomery wpił palce w oparcia fotela i mocno zacisnął powieki. Fantastycznie, po prostu fantastycznie. Wstrzymując oddech, pomyślał, że ten niespokojny lot to doskonała metafora jego własnej wyboistej drogi życiowej.

– Przepraszam, doktorze. – Siedzący obok pilot najwyraźniej był w swoim żywiole.

Andrew otworzył oczy porażony morderczymi myślami, które naszły go na wysokości tysiąca pięciuset metrów nad ziemią. Powinien był się na to przygotować, gdy poinformowano go, że czeka go „przejażdżka samolotem pocztowym”. Nie przyszło mu wtedy do głowy, że będzie leciał skulony w maszynie, która oglądana z ziemi na tle błękitnego bezkresu nie jest większa od komara. I na dodatek tak samo bżyczy.

– Zaraz będziemy na miejscu.

Andrew przytaknął i pierwszy raz od początku tej podróży odważył się głębiej odetchnąć. Poprawił się w fotelu. Było tam okropnie ciasno. Miał wrażenie, że kolanami zatyka sobie uszy. Taki Bomber to ma dobrze, pomyślał, spoglądając na pilota. Co najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu, ale skądinąd ciekawe, jakim cudem ten piwny bandzioch mieści mu się pod sterami. Z rozwichrzoną brodą i ogorzałą twarzą wygląda, jakby się urwał z planu filmowego. Gdyby nie to, że prowadzi tę maszynę, Andrew byłby całkiem zadowolony ze znajomości z postacią tak charakterystyczną dla australijskiego buszu.

Bomber skreślił tak gwałtownie, że Andrew automatycznie uniośł rękę, by zaprzeć się o sufit. Boże, spraw, żebym wylądował cały i zdrowy. Mam teraz nowe obowiązki.

– Niech pan popatrzy na ten widok, doktorze. Takiego drugiego nie ma na całym świecie.

Andrew zmusił się, by otworzyć oczy i wyjrzeć przez brudną szybkę. Przypomniało mu się podchodzenie do lądowania w Sydney: port oraz gmach opery, albo na paryskim lotnisku Charlesa de Gaulle’a: szare mury zabytkowych budowli, Sekwana, Łuk Triumfalny, wieża Eiffla. Czy Bomber widział jakiś inny kraj niż Australia?

Ale jego zachwyt był w pełni uzasadniony. Taki bezkres ciągnący się po widnokrąg ma swój urok, pomyślał Andrew. Dziki i prymitywny, ale piękny. Błękitne niebo bez najmniejszej chmurki stykało się na linii horyzontu z ciemną czerwienią ziemi. Wpadając w kolejną turbulencję, wyobraził sobie, że znajduje się we wnętrzu toczącej się kuli, którą nagle ktoś potrząsnął.

Lecieli teraz nad połyskującymi w słońcu rozlewiskami powstałymi w porze deszczowej, która dopiero co się skończyła. Widać było, że woda już się cofa. Miał cichą nadzieję, że za sześć tygodni uda mu się wrócić do cywilizacji samochodem i że jest to jego ostatnia podróż z Bomberem.

Zdumiewała go obfitość zieleni i ostry kontrast barw tego regionu: czerwień ziemi, błękit nieba, żółć słońca, zieleń roślinności. Ariel od razu by to namalowała. Wyobraził sobie, jak kładzie na płótno barwne plamy, od czasu do czasu nasłuchując wibracji w powietrzu, wyczuwając prymitywny rytm ziemi, żeby przełożyć to na język kolorów.

– To tam – odezwał się Bomber. Wspomnienie Ariel zniknęło. Andrew z ciężkim sercem popatrzył za kościstym palcem pilota. Lądowisko stanowił pas czerwonej ziemi, po brzegach obrośnięty kępami traw. Stały tam dwa baraki z blachy falistej i samochód terenowy. Na jego masce siedział człowiek. To pewnie George Lewis, pomyślał Andrew.

– Cywilizacja – oznajmił Bomber. Najwyraźniej jego wyobrażenie o cywilizacji było trochę zawężone, bo w pobliżu lądowiska Andrew nie dostrzegł więcej budynków ani ludzi. Dwa baraki i jeden człowiek to za mało, by nazwać to cywilizacją. Andrew miał wrażenie, że wylądował na innej planecie, na przykład na Marsie, bo podobno Mars jest czerwony.

– Niech się pan trzyma, doktorze. Lądujemy. Andrew zacisnął powieki i wpił się palcami w siedzenie. Nienawidził lądowania.

Georgina Lewis usłyszała warkot silnika na długo, zanim dostrzegła awionetkę. Miała doskonały słuch: słyszała, jak milę dalej skaczą kangury. Odgoniła muchę i rozsiadła się na masce.

Nie powinna wylegiwać się na słońcu. W przypadku rudych i piegowatych granica między przyjemnością i cierpieniem jest bardzo cienka. Jedna minuta za długo i dostanie za swoje. Zrobi się czerwona jak burak i zacznie obłazić ze skóry. Nie wspominając o piegach. Oraz ryzyku raka skóry.

Jasna karnacja była jej przekleństwem od najmłodszych lat. Nie było innego sposobu, żeby zrekompensować jej pupę w kształcie gruszki? Wszystko by oddała za gładką oliwkową karnację. Za skórę, która może się delektować każdym promieniem słońca.

Westchnęła, wyciągając się i opierając zabłocone buty na orurowaniu landrovera. Odsunęła od siebie myśli o swoich wadach genetycznych. Ogarnął ją błogi spokój oraz poczucie jedności z przyrodą. Tutaj, w tej pierwotnej krainie, noszenie ubrania jest bluźnierstwem, pomyślała.

Uśmiechając się, poprawiła leżący na twarzy kapelusz. To by dopiero była niespodzianka dla doktora z miasta: witająca go nagusieńka pielęgniarzka! Bez wątplenia Bomber też dostałby zawału. Ma nadciśnienie i rekordowy poziom cholesterolu, ale prawdę mówiąc, jest tak cenny, że lepiej nie ryzykować. Jak mu się udaje nie stracić licencji pilota?

Odwróciła głowę w kierunku nasilającego się warkotu silnika. W oddali dostrzegła błysk słońca odbijający się od metalu. Usiadła i nakładając kapelusz na głowę, dłonią osłoniła oczy. Westchnęła. Kolejny lekarz z miasta. Szkoda, że jest tu sama, bo bardzo chętnie z kimś by się założyła o to, w jakim stroju ukaże się im ten

doktor Montgomery.

W garniturze od Armaniego, jak dwaj poprzedni? Czy w kompletnym stroju roboczym, jak ten trzeci? Albo im się wydawało, że przyjechali tu do pracy przy przeganianiu bydła i kapaniu owiec, albo traktowali wszystkich jak parobków, jak coś śmierdzącego, co im się przylepiło do buta. Może wreszcie z tego samolotu wysiądzie ktoś normalny. Osobnik, którego interesuje to, co oni tu robią, a nie ciekawe doświadczenie wpisane do życiorysu. Może będzie to ktoś, kto tu zostanie i przejmie ster z rąk profesora, który nagle bardzo się postarzał?

Przygryzła wargę, spoglądając na powiększającą się plamkę na niebie. Profesor bardzo się posunął. Ostatnio wyraźnie osłabł. Do tego stopnia, że zaczęła się zastanawiać, czy nie kryje się za tym coś poważnego. Po raz pierwszy wgląda na swoje siedemdziesiąt lat. Tak, nadal ma umysł jak żyłeta i w dalszym ciągu przewyższa intelektualnie wszystkich eleganckich chłopców z miasta, ale rusza się o wiele wolniej.

Marzy o tym, by przejść na emeryturę i z piwkiem iść na ryby. To bardzo skromne życzenie jak na wielkiego człowieka, który całe życie poświęcił eliminowaniu ślepoty i jej zapobieganiu w najodleglejszych zakątkach Australii. Można by oczekiwać dużo więcej od lekarza światowej sławy, którego prace drukują prestiżowe pisma medyczne na całym świecie. Georgina jak wszyscy mieszkańcy tej okolicy wiedziała, że profesor Harry James nigdy nie porzuci swojego programu walki ze ślepotą.

Zsunęła się z maski land-rovera i bezwiednie wytarła spocone dłonie o spodnie. Nagle poczuła, że się denerwuje, przewidując, że Andrew Montgomery okaże się taką samą katastrofą jak jego poprzednicy. Dobry Boże, ześlij mi kogoś, z kim da się pracować.

Zasłoniła twarz przed pyłem wzniesionym przez lądujący samolot. Podniosła głowę dopiero, gdy kurz opadł, a śmigło przestało się kręcić. Uśmiechnęła się na widok Bombera, który machał do niej zza zakurzonej szyby. Nie zdążyła przyjrzeć się pasażerowi, bo pilot już wyskoczył na ziemię z radosnym okrzykiem:

– George! George!

Ucieszona jego entuzjazmem oparła się o auto, przygotowując się na wylewne powitanie. Bomber zbliżał się do niej wielkimi krokami. Z długą siwą brodą, kartoflastym czerwonym nosem i wielkim brzuszyskiem idealnie pasował do roli Świętego Mikołaja. Rok w rok w dniu Bożego Narodzenia oblatywał swoim samolotem wszystkie zagrody, rozdając dzieciom prezenty i słodycze.

Porwał ją w ramiona i mimo że był od niej niewiele wyższy, zakręcił nią młynka. Śmiejąc się, piszczała, żeby postawił ją na ziemi.

– Jak się ma moja dziewczynka? – Wypuścił ją z objęć.

– Bomber, pytasz mnie o to, od kiedy miałam pięć lat!

Bomber uśmiechnął się ciepło.

– Chcesz powiedzieć, że urosłaś? Nie zauważyłem. Roześmiała się.

– Jaki werdykt? – zapytała, głową wskazując na samolot. – Armani czy pastuch?

– Ani jedno, ani drugie – odparł rozbawiony. – Mało się odzywał. Zamyślony. Ale coś mi mówi, że może okazać się... normalny.

Z jej piersi wyrwało się teatralne westchnienie.

– Jakoś długo nie wysiada – zauważyła, spoglądając pilotowi przez ramię. – Wie, jak to się robi? A może czeka, aż mu otworzę? – Przeszło jej przez myśl kilka niepochlebnych komentarzy.

– Daj mu ochłonąć – zarechotał Bomber. – Coś mi się widzi, że nie przepada za lataniem.

Kapitalnie. Tylko tego im brakowało.

– Przyniosę pocztę – dodał Bomber.

Patrzyła za oddalającym się pilotem, jednocześnie zastanawiając się, co zrobić z nowo przybyłym. Nie będzie ułatwiać mu życia. Z dłońmi na biodrach czekała. W końcu drzwi od strony pasażera się otworzyły. Nareszcie.

Dużo go kosztowało, by nie paść na kolana i nie ucałować czerwonej ziemi. Nie ma to związku z rozmiarami samolotu, ale najprzyjemniejszy jest powrót na ziemię. Z radością czuł pod stopami stały ląd. Stał przez chwilę, wciągając w nozdrza ciepłe powietrze. Przeszedł na tył maszyny, gdzie Bomber wyładowywał towar.

– Jak się pan czuje, doktorze?

– Dziękuję, dobrze. Teraz już dobrze. Bomber podał mu plecak.

– Pospieszmy się, bo George się niecierpliwi – mruknął.

Andrew włożył ciemne okulary, żeby popatrzeć we wskazanym kierunku. To jest George Lewis?

– George to... dziewczyna? – spytał lekko zdziwiony, że osoba, z którą wymieniał korespondencję, jest kobietą. A do tego nader interesującą.

– Tak, to ona – zaśmiał się Bomber. – Georgina Lewis.

Andrew był zaskoczony swoim nieoczekiwanym zainteresowaniem. Żegnaj George, witaj Georgino. Kiedy po raz ostatni jakaś kobieta zrobiła na nim takie wrażenie?

Zarzucił plecak na ramię i ruszył w stronę auta, nareszcie zadowolony z okoliczności, w jakich się znalazł.

Spod szerokiego randa filcowego kapelusza wystawały kręcone włosy do ramion koloru ziemi, po której stapał. Piegi. Piegi, które podkreślały jej regularne rysy, wydatne kości policzkowe i pełne wargi. Miała lekko zadarty nos i oczy koloru miodu.

Drobna, o głowę od niego niższa. W innej sytuacji T-shirt zasłaniałby jej talię, ale teraz, gdy stała, trzymając się pod boki, nie trzeba było niczego się domyślać. Jej palce niemal w całości ją obejmowały, prawie się stykały poniżej pępka, a spod jej dłoni wypływały biodra pełne i kuszące.

Miała na sobie spodnie robocze do połowy łydki, ciężkie buty oraz grube skarpety. Jej godny uwagi biust opinał czarny T-shirt.

– Witaj, Georgino.

– George – poprawiła go, podając mu rękę. – Domyślam się, że mam do czynienia z doktorem Montgomerym.

– Inaczej sobie ciebie wyobrażałem – powiedział, przyjemnie zaskoczony jej silnym, zdecydowanym uściskiem.

Cofnęła dłoń. Dobra, już nieraz to słyszała.

– To znaczy, że jesteśmy kwita.

Uniósł brwi. Nie wiadomo dlaczego, sprawiała wrażenie zirytowanej. Zdaje się, że Georgina Lewis nie trawi głupców. Ma krągłe i kobiece kształty, ale na tym jej kobiecość się kończy. Wygląda na twardziela, na kobietę zaradną oraz silną. Zdecydowanie nie w jego typie. Ale prawdę mówiąc, kobiety przestały go interesować i już nie był pewien, jakie są w jego typie. Nawet gdyby Georgina do nich się zaliczała, to jej defensywna postawa mówi sama za siebie.

– Przyznam, że spodziewałem się faceta. A ty kogo? Kogoś całkiem innego niż ty. Jak Bomber mógł aż tak bardzo się pomylić? Ten człowiek absolutnie nie jest „normalny”. Zdecydowanie nie jest przystojniaczkiem z wielkiego miasta, nie w głowie mu pokazy mody, a mimo to jest rewelacyjny. Długie nogi, szeroka klata, płaski brzuch. Blisko dwa metry seksapilu! Ma jasne włosy, białe równiutkie zęby, leniwy uśmiech i oczy tak niebieskie, że można w nich utonąć. Niepostrzeżenie.

Ma nawet bliznę. Długi biały pasek w ciemnym zaroście na szczęce. Widać wyraźnie, że raną nie zajmował się sławny chirurg z Sydney. Po prostu ktoś pośpiesznie założył szwy i zostawił ranę do zagojenia. Przyłapała się na tym, że ciekawi ją, jak się jej nabawił.

On jest boski. Tak jak Joel. O nie, w niczym nie przypomina jej byłego. Taka nagła fascynacja była jej już znana, co kazało jej mieć się na baczności. Dobrze pamiętała zamieszanie, jakie wywołał Joel i jak dało się jej we znaki złamane serce, więc bezlitośnie stłumiła złowieszczy łomot serca. Nie interesują jej chłopcy z miasta. Już nie. Nigdy więcej.

Siląc się na nonszalancję, wzruszyła ramionami.

– Garnitur od Armaniego. Albo ubrania roboczego. Ściągnął brwi.

– Napisałaś: dzinsy i Tshirt.

Przytaknęła. Mimo to docierało to do niewielu. Ale dlaczego akurat temu facetowi jest bardziej do twarzy w dzinsach i T-shircie niż innym?

– George, poczta – usłyszała głos Bombera. Czują, że chętnie by go wycalowała za ten przerywnik. – To jest Byron, reszta dla profesora. Głównie leki i sprzęt.

– Dzięki, już otwieram bagażnik – odparła zadowolona, że może się oddalić od niepokojącego doktora Montgomery’ego.

Andrew przejął od Bombera ciężkie pudło, z zachwytem popatrując na jej rozkołysane biodra. Uśmiechnął się pełen podziwu dla ich krągłości, po czym nagle zamrugął, przerażony tym, że jego myśli prowadzą go w kierunku absolutnie niepożądanym. Żaloba oraz obowiązki, które na niego spadły, sprawiły, że stracił zainteresowanie płcią przeciwną, poza tym nie miał na to czasu. Może ta czarna kurtyna nareszcie zaczyna się podnosić?

Nieważne. Przyleciał tu tylko na sześć tygodni. To ostatnia obowiązkowa praktyka. Co gorsza, wyjątkowo niewygodna. Musiał nieźle się nakombinować, by tu dotrzeć. Lepiej, żeby była warta zachodu.

Do niczego nie jest mu potrzebna taka twarda wiejska dziewczyna, nawet atrakcyjna. Nie trzeba mu dodatkowych komplikacji, bo i tak ma na głowie już zdecydowanie za dużo. Zaszedł na tył samochodu i wstawił karton do bagażnika.

– Sama mogłam go przenieść – stwierdziła, a on wzruszył ramionami.

– Chciałem się do czegoś przydać.

Pięć minut później, gdy załadowali wszystkie kartony, George pomachała Bomberowi na pożegnanie. Wsiadając do samochodu, Andrew miał wątpliwości, czy ten kompletnie skorodowany wrak w ogóle ruszy z miejsca, nie mówiąc o dowiezieniu ich do celu. Zatraskując drzwi i zapinając pasy, wdychał zapach benzyny, smarów i rdzy. Oraz czegoś jeszcze. To kwiaty, orzekł po chwili zastanowienia.

Gdy Georgina zasiadła za kierownicą, zapach się nasilił. Mmm, ona pachnie kwiatami. Miał ochotę przysunąć się bliżej, bo zdecydowanie wolał jej zapach niż benzyny.

– Kto to jest Byron? – zapytał.

– To. – Powiodła ręką po okolicy. – Byron Downs. Cały ten obszar.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i ku zdziwieniu Andrew silnik natychmiast ożył. Jednocześnie z otworów wentylacyjnych buchnęło gorące powietrze, a z głośników muzyka rockowa. Zrobiło się tak głośno, że Andrew nie mógł pozbierać myśli.

Georgina pospiesznie ściszyła muzykę, ale jej nie wyłączyła.

– Przepraszam – powiedziała. – Uważam, że tylko tak można słuchać rocka. Na cały regulator. Ale zdaję sobie sprawę, że nie każdy podziela mój pogląd.

– Fanka rocka? – zapytał głośno.

– Zagorzała. – Energicznie pokiwała głową. Błysk w jej oczach sprawił, że nabrały koloru płynnego złota. – Byłeś przekonany, że tu króluje muzyka country? Pierwszy raz spotykam się z tak stereotypowym myśleniem!

Andrew uśmiechnął się do siebie. Drażliwa! Odwrócił wzrok, by przez okno popatrzeć na wyboistą drogę, która wprawiała w wibracje całego jeepa, przy okazji interesująco kołysząc biustem kierowcy. Zastanawiał się nad bezpiecznym tematem konwersacji.

– Lata temu byłem na koncercie tej grupy na Wembley – rzucił. Teraz, kiedy wspomnienia przeniosły go ponad barierę smutku, wydało mu się to milion lat wcześniej.

Zahamowała tak gwałtownie, że Andrew o mało nie wyrzwał głową w przednią szybę. Na szczęście miał zapięte pasy.

– Niemożliwe!

– Naprawdę. Miałem wtedy dziewiętnaście lat. To był rewelacyjny koncert.

Patrzyła na jego piękną twarz z tajemniczą blizną, starając się nie wyobrazić sobie, jak zabójczo przystojnym był dziewiętnastolatkiem. Na koncercie rockowym.

Żeby o tym nie myśleć, wrzuciła bieg i ruszyła dalej.

Andrew miał wrażenie, że jadą przez bezdroże i w duchu zadawał sobie pytanie, czy Georgina wie, którądy jechać, bo nie widział żadnej drogi ani zabudowań, które mogłyby być ich celem. Szyba w jego oknie była zdecydowanie bardziej czystsza niż w samolocie Bombera, więc nareszcie mógł w pełni docenić uroki niesamowitej scenerii.

Bezkresna, niepowtarzalna i dzika kraina. Tu i ówdzie zarośla o tej porze soczyście zielone, a pod nimi kobierce różowych i żółtych dzikich kwiatków. Jej bezmiar był wręcz klaustrofobiczny.

– Kto jest właścicielem farmy Byron Downs?

– Moja rodzina.

Aha. To wyjaśnia, dlaczego ona wie, dokąd jedzie, mimo że on nie widzi ani drogi, ani wyraźnego celu.

– Duża jest ta farma?

– Osiemdziesiąt tysięcy hektarów. Zagwizdał.

– Obszarnicy.

– Chyba żartujesz! – warknęła.

Odwrócił głowę, by popatrzeć na krajobraz. Powinien był się domyślić, że Georgina stąd pochodzi. Widać to było w każdym jej ruchu. Na przykład w tym, że pewnym krokiem stąpała po lądowisku. Jak pani na włościach. Tutaj jako dziecko robiła babki z błota, pływała w rozlewiskach, biwakowała pod gwiazdami. Wyczuwało się, że żyje w harmonii z otaczającą ją przyrodą.

Rzadko spotykał takich ludzi. Prawdę mówiąc, od dawna z nikim takim się nie kontaktował. Kilka lat temu ku swojemu zaskoczeniu zdał sobie sprawę, że okulistyka mało go interesuje. Walczył z tym, to oczywiście, czepiając się przyczyn, dla których wybrał tę specjalizację, ale niepokój stopniowo się przeradzał w wyrzuty sumienia, a potem w wewnętrzny ryk buntu. Kiedy w końcu pojął, że musi żyć w zgodzie z sobą, umarła Ariel, co ostatecznie przypieczętowało jego los, na zawsze zamykając mu drogę odwrotu.

Rozmyślając, patrzył na równinę. Ciągnęła się w nieskończoność. Jechali już pół godziny, a on nadal czuł się jak ziarnko piasku zawieszone w nieskończoności. Z minuty na minutę malała też waga jego problemów. Piękno tej krainy w niewyjaśniony sposób koło jego skołatany umysł oraz zbolałą duszę.

Wyprostował się, by odsunąć od siebie niestosowne myśli. W samym sercu Australii jest dopiero od trzydziestu minut. Z problemem wyboru kariery zawodowej boryka się od dwóch lat. Jego ukochana siostra nie żyje, odeszła w kwiecie wieku. To niemożliwe, by ten pierwotny krajobraz dawał mu wewnętrzny spokój, którego nie potrafił znaleźć w domu.

– Dokąd jedziemy? – zapytał, starając się sprowadzić myśli na inne tory.

– Najpierw do domu, żeby tam zostawić pocztę.

– Ile to nam zajmie? – Rozejrzał się za jakimiś zabudowaniami.

– Godzinę – odparła. – Potem pojedziemy do bazy. Otworzył usta, żeby zadać



kolejne pytanie.

– Godzinę. – Najwyraźniej czytała w jego myślach.

– To tam jest profesor James? Przytaknęła.

– Cały zespół przeniósł się do nowej bazy dzisiaj rano. A ja pojechałam po ciebie.

– Ile czasu spędzacie w każdej bazie?

– Zazwyczaj dwa albo trzy dni. To zależy od liczby zabiegów. Ale niektóre wioski są dostępne dopiero teraz, po zakończeniu pory deszczowej. I tam zatrzymujemy się dłużej.

Zaczął się jej ulubiony utwór, więc bezwiednie wyciągnęła rękę w stronę gałki, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Cholera! Taki hałas odciągnąłby jej myśli od jego nóg, na które stale zerkała kątem oka.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnął się i sam nastawił piosenkę na cały regulator. Taki przebój zasługuje na to, by puszczać go jak najgłośniej.

Uśmiechnęła się zadowolona, ale natychmiast tego pożałowała, bo on także się uśmiechnął. To ją zelektryzowało. Gdyby byli na szosie, na pewno wjechałaby w najbliższe drzewo. Odwróciła od niego wzrok.

Zdażyła jednak dostrzec w jego oczach smutek. Uśmiechnął się, to prawda, ale nie było w nich radości. Mocniej chwyciła kierownicę. Dobrze zna takie spojrzenie. Nawet bardzo dobrze. Nieraz je widzi, patrząc w lustro.

Spoglądał przez okno mocno zdziwiony wrażeniem, jakie wywarł na nim jej uśmiech. Wsiadając do auta, zdjęła kapelusz, więc już nic nie zasłaniało jej rudych loków, roześmianych oczu i kuszących warg. Nie miała makijażu. Pierwszy raz spotyka kobietę bez makijażu. Nawet Ariel używała pomadki do ust.

Dzięki Bogu, był to jeden z najdłuższych przebojów w historii rocka, bo Andrew potrzebował czasu, by wymazać ten uśmiech z pamięci. Uporczywie wpatrywał się w księżycowy krajobraz, żeby nie słuchać, jak Georgina nuci refren. Gdy utwór się skończył, muzyka przycichła. Nadal siedział z odwróconą głową, nie podejmując rozmowy. Na szczęście Georgina okazała się małomówna.

Po jakimś czasie dostrzegł pierwsze sztuki bydła rasy Brahman, skubiące zieloną trawę przy strumieniu.

– Byron Downs zajmuje się hodowlą bydła? Przytaknęła.

– Mamy około czterdziestu tysięcy sztuk.

– Na eksport?

– Głównie. Oraz na rynek lokalny. Mamy też dwa tysiące reproduktorów.

Gwizdnął przez zęby.

– Pomagasz na farmie?

– Jasne. – Wzruszyła ramionami. – Zawsze, jak tylko nie jestem potrzebna profesorowi.

Pokiwał głową i znowu zerknął przez szybę. Nic dziwnego, że wygląda na twardą babę. Praca na farmie to nie przelewki. Próbował sobie wyobrazić tutaj którąś ze swoich znajomych z Sydney. Bez rezultatu.

Resztę drogi przebyli w milczeniu, słuchając przebojów. W końcu znaleźli się na

utwardzonej drodze, która doprowadziła ich do pierwszej bramy. Georgina odpięła pas, żeby wysiąść.

– Ja otworzę – powiedział, dotykając jej dłoni.

– Nie musisz. – Cofnęła rękę. – To nie są zwyczajne zasuwę, a ja wiem, jak się je otwiera.

– Myślę, że sobie poradzę. – Wsiadł.

Patrzyła za nim oniemiała. Zawsze sama otwiera te bramy, chyba że jest z nią ojciec albo brat. Ale oni doskonale znają każdą zasuwę i wiedzą, jak one działają. Ani jeden z doktorków, których tu przywoziła, nie oferował pomocy. Nawet Joel spokojnie patrzył, jak kilkanaście razy chodziła tam i z powrotem.

Andrew zajęło to chwilę, ale w końcu otworzył bramę na oścież. Odczekał, aż Georgina wjedzie do zagrody, po czym zamknął wrota i wsiadł do auta.

– Dzięki – rzekła, nie kryjąc zdziwienia. Może Bomber ma rację? Może ten facet rzeczywiście jest normalny?

Wkrótce oczom Andrew ukazały się siedziby ludzkie. Zorientował się, że dom mieszkalny otacza kilkanaście innych budynków.

– Ile tu zabudowań... – zdziwił się.

– Mamy dziesięciu pastuchów; którzy tu mieszkają z całymi rodzinami. Poza tym w kilku barakach trzymamy sprzęt i maszyny. Mamy też stajnie oraz lądowisko dla śmigłowców.

– Macie śmigłowiec?

– Do zaganiania bydła.

Oczywiście. Patrzyła na niego tak, jakby posiadanie śmigłowca było czymś najzwyczajniejszym na świecie. Jakby każdy miał śmigłowiec.

– Pierwszy budynek mieszkalny powstał pod koniec dziewiętnastego wieku, potem gospodarstwo się rozbudowywało. W tej chwili dom mieszkalny może pomieścić dwadzieścia osób.

Spoglądał na szeroką werandę okalającą siedzibę Lewisów. Ta budowla ma wdzięk, pomyślał. Zabytkowa. Na werandzie musi być teraz, w tym upale, przyjemny chłód.

– Ładny – rzekł z uznaniem.

– Dzięki. Też tak uważam. – Zajechała przed dom. – O, jest John. Chodź, poznasz mojego brata.

Nim wysiadł, miał okazję zobaczyć serdeczne powitanie rodzeństwa. Nawet gdyby go nie uprzedziła, od razu by poznał, że są rodziną. Podobnie jak ona brat był rudy i piegowaty. Chwilę później podszedł do nich drugi mężczyzna. Ten był zdecydowanie od nich starszy, ale i on miał rude włosy, aczkolwiek przyprószone siwizną. On również objął Georginę ciepłym gestem.

Podbiegł do nich chłopiec w wieku Cory'ego, którego Georgina porwała w ramiona. Andrew patrzył na nich z zawiścią. Tak wygląda rodzina z prawdziwego zdarzenia.

Znowu naszły go wyrzuty sumienia, że zostawił Cory'ego w Sydney, a

towarzyszyło im silne poczucie odpowiedzialności narzucone mu z chwilą, gdy został prawnym opiekunem siostrzeńca. Od pół roku miał wrażenie, że stoi na rozdrożu. Zdecydował się na tę wyprawę w głąb Australii właśnie przez wzgląd na Cory'ego, mimo że siostrzeniec nie był w stanie zrozumieć takiego poświęcenia.

Nie widziała się z rodziną od kilku tygodni, więc tym bardziej cieszyła ją ta wizyta.

– Powinienem był się domyślić, że przyjedziesz. Ty zawsze wyczujesz, co Mabel gotuje – zażartował John.

– Mabel piecze jagnięcinę – poinformował ją rozpromieniony Charlie, jej ośmioletni siostrzeniec.

Mabel zjawiała się na farmie jeszcze przed narodzinami Georginy. Była żoną jednego z pastuchów, który dwadzieścia lat później zginął tragicznie. Po jego śmierci Mabel została gospodynią w rodzinie Georginy.

– Pycha, już mi ślinka leci – roześmiała się, całując chłopca w policzek.

– To ten elegant z miasta? – zapytał szeptem Edmund Lewis, wskazując głową auto, w którym siedział Andrew.

– Mhm.

Brat cicho zagwizdał przez zęby.

– Przystojny, siostrzyczko. Podobny do...

– Lepiej milcz! – syknęła.

– Do Joela – parsknął John, uchylając się przed siostrzaną pięścią.

Przytuliła mocniej Charliego, by nie zapomnieć, dlaczego nie jest jej potrzebny drugi Joel.

Odwróciła się, by gestem przywołać Andrew. On zaś powoli odpinał pasy i zastanawiał się, czy potrafi spokojnie patrzeć na tę sielankę, podczas gdy jego życie rodzinne legło w gruzach?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ku swojemu zdziwieniu spostrzegł, że wspólny lunch sprawił mu przyjemność. Smakowity posiłek i swobodna atmosfera przy stole pozwoliły mu zapomnieć o problemach.

– Skąd się wzięła taka nazwa tej farmy? – zapytał, gdy ruszyli w dalszą drogę.

– Na cześć lorda Byrona nadał ją mój prapradziadek, sir George Lewis – wyjaśniła Georgina.

– Na cześć poety? Tego od „Idzie w Piękności...”, George’a Gordona Byrona?

– Tak, tego – potwierdziła. On zna ten wiersz. No to co? Zna go każdy licealista. Joel też ją nim czarował. Ale czy potrafi go wyrecytować do samego końca? Nie będzie tego sprawdzała. – Stary Byron był niepoprawnym romantykiem.

– Czy i ty otrzymałaś imię po Byronie? – zapytał z uśmiechem.

– Nie. Po nader praktycznej ciocio-babci ze strony matki, ale ono do mnie nie pasuje.

– Nie odziedziczyłaś po prapradziadku fascynacji kwiecistą romantyczną poezją?

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Koleś, wybij to sobie z głowy. Ja bardzo szybko się uczę.

– Ani trochę.

– Szkoda. Bardzo lubię romantyków. Moglibyśmy wieczorami razem czytać jego wiersze.

Na moment zdrętwiała, ale rozbroił ją jego łobuzerski uśmieszek. Chłopięcy i czarujący. Spokojnie, kobieto, spokojnie. Niech mu się nie wydaje, że nabierze cię na salonowe maniery. Masz to już za sobą.

– Ale za to możesz liczyć na Bombera – odparła.

– Na Bombera? Bomber jest miłośnikiem poezji romantycznej?! – Nie posiadał się ze zdumienia, a jego pełna niedowierzania mina kazała Georginie się roześmiać.

– Pozory mylą. Dawno, dawno temu Bomber był nauczycielem angielskiego.

– Domyślam się, że nie jest to jego prawdziwe nazwisko.

– Nie, skądże. Przez wiele lat latał z opryskami w Queenslandzie. Miejscowi mówili, że latał tak nisko, że niemal dotykał czubków roślin. Podobno pikował nad uprawami jak oszalały kamikadze. Od czterdziestu lat nikt nie mówi do niego po imieniu. Prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, jak Bomber naprawdę się nazywa.

Andrew po raz kolejny zapatrzył się w krajobraz, nie mogąc nasycić wzroku jego urodą. Musiał sam przed sobą przyznać, że cieszy go ta sytuacja. Miał pełny żołądek i siedział obok pięknej dziewczyny, która pachnie kwiatami.

Kiedy o romantycznych ciągotach wypowiadała się z takim lekceważeniem, jakby to był grzech śmiertelny, nie mógł się powstrzymać, by nie zażartować, wyskakując z propozycją wieczorków poetyckich. Takie twarde zaradne kobiety nie potrzebują miłości. Jej wojownicze spojrzenie obudziło drzemiącego w nim dawnego Andrew, który nie miał nic przeciwko niewinnemu flirtowi. I teraz było mu z tym bardzo

dobrze.

Uprzytomnił sobie, że wcale tego nie oczekiwał. Dwa lata temu, kiedy zdał sobie sprawę, że praca nie daje mu zadowolenia, z niecierpliwością oczekiwał odległego etapu praktyki, tym bardziej że współpraca z profesorem Jamesem, najznamienitszym okulistą australijskim, jawiła mu się jako nie lada zaszczyt. Jednak dwa lata później ten wyjazd okazał się całkiem nie w porę.

Ariel odeszła pół roku wcześniej, a on musiał przejąć opiekę nad ośmioletnim siostrzeńcem, co okazało się prawdziwą rewolucją w jego życiu. Od tej pory żył ze świadomością, że nie staje na wysokości zadania. Cory nadal był zamknięty w sobie, a on nie wiedział, jak się do niego przebić, zwłaszcza że sam jeszcze się nie otrząsnął po przedwczesnej śmierci siostry.

To, że musiał Cory'ego opuścić akurat teraz, na pewno dobrze chłopcu nie zrobi. Lecz ta praktyka jest obowiązkowa, i dłużej nie mógł jej już odwlekać. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że zbiurokratyzowany system edukacji medycznej niechętnie uwzględnia problemy rodzinne i w końcu dano mu do zrozumienia, że ten termin jest ostateczny.

Jeśli chce zostać okulistą, musi zaliczyć wszystkie praktyki oraz zdać egzaminy końcowe. Oczywiście wcale tego nie chciał, ale był to dłużny Ariel, zwłaszcza po jej śmierci, a w jeszcze większym stopniu Cory'emu.

Spadł na niego obowiązek wychowywania dziecka. Zaplanował sobie, że pośle chłopca do najbardziej ekskluzywnych szkół oraz na najlepszy uniwersytet, sprezentuje mu nowy samochód, gdy tylko otrzyma prawo jazdy, sfinansuje aparat ortodontyczny, gdyby okazało się to nieodzowne i kupi mu wszystko, czego zapragnie. A to wymaga pieniędzy. Więc zmiana profesji nie wchodzi w rachubę. Musi trzymać się tej drogi niezależnie od tego, czy mu się to podoba, czy nie.

Mając w pamięci całe to tło, a do tego szukanie na sześć tygodni opiekunki dla Cory'ego oraz ponure milczenie siostrzeńca, gdy wyjeżdżał, nie wyobrażał sobie, że cokolwiek może go zafascynować. Przyjął jedynie, że praktyka będzie interesująca oraz że dużo się nauczy.

Gdy na pożegnanie bez przekonania tłumaczył Cory'emu, że robi to dla niego, nie przewidział, że ten wyjazd złagodzi jego wyrzuty sumienia. Upłynęło pół dnia, a poznał więcej ciekawych ludzi niż przez tydzień w Sydney. Okazali się wspaniali i barwni jak ten krajobraz. Brat i ojciec Georginy to faceci pogodni i bezpośredni. Ich spracowane dłonie oraz muskularna budowa były świadectwem ciężkiej pracy, ale skłonność do śmiechu oraz żarty wymieniane z Georginą i Charliem ukazywały ich łagodniejszą, cieplejszą stronę.

– Ile Charlie ma lat? – zapytał Andrew.

– Osiem.

Tyle samo co Cory, przeszło mu przez myśl. Ale jacy oni są różni. Charlie jest radosny i gadatliwy, a Cory milczący i zamknięty w sobie. To prawda, że z powodu niepełnosprawności matki zawsze był nad wiek poważny, ale póki żyła, był pogodny, uśmiechnięty i serdeczny. Co robić, żeby wrócił ten Cory sprzed kilku miesięcy?

– Gdzie jest mama Charliego?

– Nie żyje – odparła Georgina, przenosząc na niego wzrok. Był wyraźnie wstrząśnięty, a w jego oczach znowu dostrzegła smutek.

Mimo to Charlie wygląda na szczęśliwego, pomyślał.

– To straszne – rzekł półgłosem.

– Tak, to był dla nas potworny cios. Przez kilka lat zła passa nie opuszczała Byron Downs. – Wróciło wspomnienie całego ciągu tragicznych wydarzeń. Najpierw zmarła bratowa, wkrótce po niej matka, niedługo potem porzucił ją Joel, a na koniec poroniła.

Teraz on zauważył w jej oczach smutek. Jej również życie nie pieściło. Wymienili pełne empatii spojrzenia. Pospiesznie odwróciła głowę.

– Charlie miał wtedy rok, więc niczego nie pamięta. Tak, to wyjaśnia, dlaczego Charlie jest taki otwarty.

– Co się stało?

– Jen była weterynarzem. Miała pod opieką ogromny obszar, więc przemieszczała się samolotem. Rozbiła się w złą pogodę.

– To dla was wszystkich musiała być wielka tragedia.

Pokiwała głową, poruszona jego zdolnością współodczuwania.

– John kompletnie się załamał. Wszyscy byliśmy w rozpacz.

– Współczuję wam. – Co więcej mógł powiedzieć? Strata najbliższej osoby wywołuje taką pustkę, że słowa osób postronnych, nawet te płynące z głębi serca, wcale nie pomagają.

Georgina skoncentrowała się na prowadzeniu auta, więc znowu zajął się obserwowaniem krajobrazu, czując, jak jej tragedia pogłębia jego cierpienie. Nie mając nic innego do roboty, zaczął rozpamiętywać ponure wydarzenia z przeszłości. Od śmierci siostry, odkąd to był zmuszony zaopiekować się Corym, nie miał czasu zastanowić się nad tym, co stracił, tym bardziej że o wiele łatwiej jest rozpacz odsuwać od siebie, niż stanąć z nią oko w oko. Również teraz czas temu nie sprzyjał.

Na zewnątrz sceneria stawała się coraz bogatsza. Coraz więcej było zieleni, wysokich traw oraz kęp eukaliptusów. Znajdowali się już na szerszej drodze, mimo że w dalszym ciągu gruntowej. Była w całkiem niezłym stanie, widniały na niej świeże koleiny.

– Chcesz zostać okulistą... – odezwała się w końcu Georgina, czując potrzebę rozładowania atmosfery. Wypadałoby też porozmawiać z człowiekiem, z którym ma pracować przez sześć tygodni.

Roześmiał się, czując się jak uczeń protekcyjnie potraktowany przez nauczyciela, lecz nie poczuł się urażony. Wręcz przeciwnie. Otrzymał szansę zmiany tematu.

Czy chce zostać okulistą? Tak. Nie.

– Tak.

Wyczuła jego wahanie.

– Na pewno?

– Tak – odrzekł z przekonaniem.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie? – Wzruszył ramionami.

Bo jesteś najprzystojniejszym facetem, jakiego w życiu widziałam i byłam przekonana, że tacy jak ty zostają chirurgami plastycznymi albo przynajmniej jakimiś innymi ważnymi specjalistami. Jak Joel.

– Ta specjalizacja nie należy do bardzo prestiżowych.

– A teraz kto daje się zwodzić pozorom? – zapytał, bezwiednie drapiąc się po brodzie. – Masz rację. Okulistyka nie cieszy się wielką popularnością. Ale podjąłem tę decyzję, mając pięć lat. I nigdy nie chciałem zostać nikim innym.

– To dziwne. Większość chłopców marzy o zostaniu strażakiem albo policjantem, a ja chciałam zostać Barbie.

Parsknął śmiechem.

– I ci się udało?

– Nie za bardzo. – Powiodła po sobie pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– Barbie jest przereklamowana – oświadczył, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

O Boże, jaki on ma uwodzicielski uśmiech. I na szczęście już nie jest taki smutny. Łatwiej poradzić sobie z pociągającym facetem niż z cierpiącym, bo smutek rozbudza w kobietach podejrzanе odruchy.

– Zgadza się. Poza tym było to krótkotrwałe zauroczenie. Któregoś roku John dostał pod choinkę lalkę GI Joe, który od razu bardzo mi się spodobał.

Andrew znowu się roześmiał i pomyślał, że Ariel na pewno polubiłaby Georginę. To nieco go otrzeźwiło.

– Myślę, że podjąłem taką decyzję z powodu Ariel, mojej siostry. Ona nie widzi.

Nie widziała. Czas przeszły. Nadal uporczywie myślał o niej w czasie teraźniejszym. Jego siostra... nie żyje. Nie mógł się z tym pogodzić.

Takiego wyjaśnienia się nie spodziewała.

– Och, Andrew, to przykre. – Zrobiło jej się głupio, że miała go za lekkoducha z miasta. – Wypadek? – zapytała, on tymczasem znowu pocierał tę frapującą bliznę. Czy ona ma z tym jakiś związek?

– Nie. Urodziła się z bardzo poważną wadą wzroku. Koszmar, pomyślała.

– Co to było? Guz? Zakażenie okołoporodowe?

– Nie. – Pokręcił głową, spoglądając przez szybę. Czy rzeczywiście ma ochotę o tym rozmawiać? – Była moją siostrą bliźniaczką. Urodziliśmy się przed czasem, w trzydziestym tygodniu. U Ariel stwierdzono retinopatię.

Retinopatia wcześniaków. Schorzenie to nie występuje w buszu, ale Georgina wiedziała, że polega ono na nieprawidłowym rozwoju naczyń krwionośnych siatkówki. Zaintrygowana drzeniem w jego głosie, zerknęła na niego.

– Nic nie widzi?

Powinien wyprowadzić ją z błędu, ale przyjemnie było się łudzić, że Ariel ciągle z nimi jest.

– Nie. Ale zgodnie z prawem była niewidoma. Widziała kolory, światło i zarysy przedmiotów. Nie widziała detali.

Do Georginy nareszcie dotarło, że prowadzą tę rozmowę w czasie przeszłym. Przeszył ją zimny dreszcz.

– Była? Widziała?

– Umarła pół roku temu. – Powiedział to tak cicho, że od razu zrozumiała, ile kosztowało go to wyznanie.

– Przykro mi, rozumiem – powiedziała z głębi serca. Było jej żal, że życie Ariel naznaczyło piętno ślepoty, tym bardziej że w buszu miała do czynienia z setkami takich przypadków i zdawała sobie sprawę, jaka to tragedia, ale jeszcze bardziej było jej żal, że pasmo życia siostry Andrew zostało tak brutalnie przecięte. Jak życie Jen. Życie matki. Oraz jej nienarodzonego dziecka.

Przeniósł na nią wzrok i pokiwał głową.

– Jak umarła? – zapytała.

– Na przejściu dla pieszych potrącił ją samochód, bo kobieta, która prowadziła, dostała za kierownicą napadu padaczkowego i straciła panowanie nad autem.

– Wydawało mi się, że epileptycy nie mogą prowadzić.

– Nie mogą, ale to był jej pierwszy napad. Zderzyła się z drugim samochodem i odniosła poważne obrażenia. Spędziła kilkanaście dni na oddziale intensywnej opieki.

– Postawiono jej zarzuty?

– Dlaczego? – Wzruszył ramionami. – To naprawdę było tragiczne w skutkach wydarzenie losowe. Wyszła z tego kompletnie zdruzgotana psychicznie. Prawdę mówiąc, żal mi jej. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek znowu usiadła za kierownicą.

Zdziwiło ją jego współczucie dla kobiety, która zabiła jego siostrę. Mało kto zdobyłby się na wybaczenie. Popatrzyła na jego profil. Widać, że bardzo trudno mu rozmawiać o siostrze. Poczula absurdalną chęć pogłądzenia jego dłoni. Upłynęło już sześć lat, odkąd rozegrała się jej tragedia, a mimo to czasami poczucie straty było tak silne, że chciało jej się płakać.

Odczekała taktownie kilka minut, żeby zmienić temat.

– Jak się domyślam, zamierzasz specjalizować się w retinopatii wcześniaków.

– Owszem, od jakiegoś czasu głównie tym się zajmuję. Mam kilka propozycji od prywatnych klinik w Sydney. – Zdumiał go jego opanowany, rzeczowo brzmiący ton.

Georgina nie wyczuła w jego głosie zainteresowania prywatną praktyką, ani nuty dumy lub podekscytowania. Zaczęła podejrzewać, że coś się za tym kryje.

– Do czego ci się przyda praktyka w buszu?

– Do niczego, ale takie są wymogi. Poza tym uważam, że moje studia byłyby niepełne, gdybym zrezygnował z szansy współpracy z jednym z najbardziej cenionych okulistów. Myślę, że dużo mogę się od niego nauczyć. Profesor James oraz jego osiągnięcia to chodząca legenda.

Jasne. Kolejny miastowy przystojniak w pogoni za imponującym wpisem do cv. Ogarnęło ją rozczarowanie oraz złość na narzucone odgórnie zarządzenie



wymagające stwarzania możliwości edukacyjnych dla lekarzy z innych placówek.

- Podejrzewam, że jaglica w mieście należy do rzadkości – zauważyła.
- Tak, masz rację. Prawdę mówiąc, nigdy taki przypadek mi się nie trafił.
- No to tutaj będziesz miał niejedną okazję.
- Nadal?

– Zasadniczo w ciągu ostatniej dekady dzięki profesorowi jaglica została opanowana. Wyjątkowo rzadko jest przyczyną ślepoty. Ale w każdej bazie nadal mamy jedno, dwoje dzieci z jaglicą.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Andrew zastanawiał się, jak to możliwe, że choroba typowa dla krajów rozwijających się występuje w dostatniej Australii. Przygnębiające odkrycie. Cholera, wszystkie tematy, które poruszyli w trakcie tego odcinka drogi z farmy, są przygnębiające. Najwyższy czas to zmienić.

- A ty, Georgino, zawsze wykonywałaś tę pracę?

Sposób, w jaki wymawiał jej imię, wydał się jej niepokojąco zmysłowy, bo nagle jej przypomniał, że pod bezkształtnym praktycznym strojem nadal jest kobietą.

- Mów do mnie George. Wszyscy tak mnie nazywają.
- Bardziej podoba mi się Georgina. Pasuje do ciebie.
- Ale mnie bardziej podoba się George – rzuciła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

On tu zrobi swoje i wyjedzie. Nie zasługuje na taki przywilej.

Roześmiał się cicho.

– Można powiedzieć, że pracuję tu nieprzerwanie od końca studiów. Pomagam profesorowi od pięciu lat.

– Nie myślałaś o tym, żeby pracować w mieście? Tam zawsze jest popyt na pielęgniarki. Szpitale biją się o pielęgniarki z dużym doświadczeniem.

Nigdy, nigdy więcej.

- Po moim trupie.
- Jesteśmy tacy straszni? – zapytał ze śmiechem.

Przypomniała sobie, jaka była nieszczęśliwa z powodu rozłąki z rodziną w trakcie studiów oraz o jaki niesmak przyprawił ją Joel oraz życie w wielkim mieście.

- Już tam byłam i wiem, czym to pachnie. Miasto jest przereklamowane.

Takie stwierdzenie powinno go zniechęcić do dalszej rozmowy, ale tylko roznieciło jego ciekawość.

- Przykre doświadczenia?

– Można to tak nazwać – odrzekła zdawkowo. – Tutaj jestem potrzebna. Mam obowiązki. Powiadasz, że w miejskich szpitalach brakuje pielęgniarek? W buszu jest jeszcze gorzej. Jestem potrzebna profesorowi, jestem potrzebna na farmie. Jestem tutaj niezastąpiona.

Co do tego nie miał już wątpliwości. Doskonale rozumiał, co to znaczy. Odpowiedzialność. Ludzie, którzy na nas liczą. Pomyślał, że ona podobnie jak on czuje się niewolnikiem swoich zobowiązań.

- Nie męczyci cię to?
- Nie – odrzekła. To jest to, co robi, odkąd zachorowała matka, a nawet

wcześniej. Po śmierci matki zginęła Jen, więc reszta rodziny mogła polegać jedynie na niej. Zwłaszcza mały Charlie. To ona go wychowała.

Jest potrzebna rodzinie oraz profesorowi.

– Musi być przyjemnie wiedzieć, gdzie się stoi. – Starał się, by w jego głosie nie zabrzmiała nuta goryczy.

– Nie zastanawiałam się nad tym – odparła. – Ale wiem, że tutaj... – Powiodła ręką po okolicy. – Mam tę krainę we krwi. Jestem wiejską dziewczyną. Jakiś czas mieszkałam w mieście i drugi raz na to się nie piszę.

Pół godziny później zwolniła, żeby skręcić w mocno rozjeżdżony trakt.

– Jesteśmy prawie na miejscu.

Nie upłynęło dziesięć minut, jak zaparkowali pod barakiem z blachy falistej. Natychmiast wybiegła im na spotkanie spora grupka roześmianych dzieciaków. Nieopodal stało kilka samochodów terenowych oraz sporych rozmiarów przyczepa kempingowa. Na jej drzwiach Andrew przeczytał napis: „Pomoc okulistyczna”.

Wysiadł z auta i podszedł do Georginy otoczonej dziećmi, które coś jej opowiadały, nawzajem się przekrzykując.

Na jego widok cofnęły się i umilkły, spuściły głowy i zaczęły palcami stóp grzebać w piasku.

– To jest doktor Andrew – przedstawiła go malcom, przytrzymując na biodrze najmłodsze dziecko.

– Cześć – pozdrowił je, uśmiechając się szeroko, potem uśmiechnął się do dziewczynki przytulonej do Georginy i pogłaskał ją po głowie.

– Idziemy – zawołała do gromadki. – Poszukamy profesora.

Ruszył za nią. Pierwszy raz znalazł się w takiej osadzie. Była to chaotyczna mieszanina prowizorycznych szałasów, namiotów i blaszanych baraków. Doskwierał mu upał i natrętność much, które brzęczały mu przed nosem. Uderzył go w nozdrza zapach dymu drzewnego. Gdy mijali kolejne domostwa obserwowani przez dzieci oraz psy, Georgina pozdrawiała każdą mijaną osobę. Ku jego zdumieniu znała imiona wszystkich mieszkańców tej dziwnej wioski.

W końcu dotarli do rozlewiska, gdzie ukazał im się profesor z wędką.

– Powinna była się domyślić, że go tutaj zaniósł – powiedziała, udając zagniewaną i teatralnym gestem biorąc się pod boki. Profesor leżał na brzegu z kapeluszem na twarzy. – Wyleguje się.

Przypomniało mu się, że przybrała tę samą postawę, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

– Uwaga, nadchodzi nasza Georgie! – rozległo się spod kapelusza. Profesor zsunął go z twarzy i powoli usiadł, wyciągając do niej rękę. – Pomóż mi wstać.

Objął ją serdecznie, mimo że widzieli się nie dalej jak tego samego poranka.

– Zdążyłaś.

– Oczywiście.

– Domyślałam się, że to jest doktor Montgomery.

– Tak, to ja. – Andrew podał mu dłoń. – Cieszę się, że nareszcie mam sposobność

pana poznać, profesorze. Od dawna jestem pełen podziwu dla pańskich osiągnięć.

Nieraz widział profesora Jamesa na zdjęciach, ale zawsze były to fotografie z młodości. Teraz profesor miał siedemdziesiąt lat, a wyglądał o wiele starzej. Miał rozczochrane siwe włosy jak Einstein i klapki na stopach, workowate szorty, jakby dużo stracił na wadze, oraz wystrzępiony na dole T-shirt. Dla Andrew stało się oczywiste, że ten światowej sławy specjalista za nic ma wyszukaną elegancję.

– Tak, tak – mówił lekceważącym tonem, energicznie potrząsając dłonią Andrew.

– Posłuchaj mnie, młody człowieku, możesz do mnie mówić Harry albo Prof jak wszyscy, ale daj sobie spokój z wymyślnymi tytułami. Tutaj są one bez znaczenia.

Andrew roześmiał się, rozbrojony bezpośredniością swojego nowego szefa. Niewielu lekarzy w Sydney tej rangi co profesor James rezygnuje z tytułów.

– Georgie już cię oprowadziła po naszym gospodarstwie?

– Jeszcze nie – wtrąciła Georgina. – Uznałam, że zacznę od przedstawienia go naszemu naczelnemu bossowi.

Andrew uśmiechnął się, ujęty tonem jej głosu, który zdradzał, jak bardzo lubi tego staruszka.

– No, jedno jest pewne – powiedział profesor. – Że prezentujesz się lepiej od swoich trzech poprzedników.

– Dziękuję, mam nadzieję. – Tą odpowiedzią sprowokował eksplozję śmiechu. – Kiedy zabieramy się do pracy? – zapytał.

– Na dodatek rwie się do roboty. – Profesor, rozbawiony, szturchnął Georginę w bok, ale ona tylko potaknęła.

– Profesorze... Harry, nie mogę się tego doczekać.

– Super. Ale na razie, Andy, wyluzuj się. Jutro. W buszu czas płynie inaczej.

Georgina przygryzła wargę, by się nie uśmiechnąć, rozbawiona okropnym nawykiem profesora zdrabniania wszystkich imion. Andy pasuje do Andrew Montgomery'ego jak Lizzy do królowej Elżbiety II.

– Domyślam się – rzekł Andrew, pospiesznie nakładając ciemne okulary, ponieważ wyszli z kręgu cienia nad rozlewiskiem – że przez najbliższych sześć tygodni będę Andym.

– Tak jest – roześmiała się.

Westchnął zrezygnowany. No cóż, Cory nazywał go wujkiem Andym. Tak było kiedyś. Ostatnimi czasy w ogóle do niego się nie odzywał, więc jakoś sobie z tym koszmarnym zdrobnieniem poradzi.

– Czy bardzo będzie ci to przeszkadzało?

– Nie. – Pokręcił głową. – Ciebie nazywa „Georgie girl”?

– Tak, bo jest fanem Seekersów. – Wzruszyła ramionami.

– Wielbicielka rocka oraz fan Seekersów. Wyjątkowo eklektyczna mieszanka.

Potem w asyście gromady dzieciaków oprowadziła go po bazie oraz przedstawiła mu Jima i Megan, pielęgniarza i pielęgniarzkę na stałe pracujących w buszu.

– Bez nich nic byśmy tu nie osiągnęli – wyjaśniła. – Ich zadaniem jest objeżdżanie odległych osad oraz umawianie wizyt. Poza tym zwożą do nas pacjentów

z odleglejszych terenów, żebyśmy mogli zająć się nimi w jednym miejscu. Do ich obowiązków należą również szczepienia, badania ogólne oraz inne kwestie związane ze zdrowiem w poszczególnych wioskach.

– To znaczy, że chociaż jest to przede wszystkim poradnia okulistyczna, świadczyte szeroko pojęte usługi medyczne.

– Ma się rozumieć. Przecież nie powiemy, przepraszam, nie zajmujemy się paprzącymi się ranami... zaczekajcie, aż za dwa miesiące przyjedzie stosowny zespół.

– No tak, raczej nie.

– Dbamy o wszystko. Weszli do przyczepy.

– Tutaj operujemy zaćmę – wyjaśniła. Wewnątrz w jednym końcu znajdowała się sala operacyjna, w drugim pooperacyjna.

– Jutro wszystkich przebadamy, a pojutrze przeprowadzimy zabiegi u tych, u których okaże się to konieczne.

– Ile takich zabiegów wykonujecie każdego dnia?

– To zależy. Zdarza się, że jeden albo dwa, jednak normalnie to jest pięć, sześć. Ale kiedy Prof rozpoczynał tu działalność, wykonywał ich dwanaście do piętnastu.

Oglądając wyposażenie przyczepy, Andrew był pod dużym wrażeniem. Część operacyjna w niczym nie ustępowała nowoczesnej sali do zabiegów okulistycznych w renomowanej miejskiej klinice. Jedyną różnicą było tylko to, że ta sala operacyjna znajdowała się praktycznie na pustyni. Ze zdziwieniem poczuł nagły przypływ adrenaliny. Oraz świerzbiecie palców, żeby brać się do roboty.

Kiedy mu się to przytrafiło w Sydney? Miesiące temu? Czy całe lata? Nie przemęczał się, przeprowadzając zabiegi laserowe na oczach małych dzieci lub osób starszych ze zwyrodnieniem plamki żółtej lub retinopatią cukrzycową. Od dawna miał tego dosyć, ale się do tego nie przyznawał, bo rezygnacja z okulistyki byłaby równoznaczna ze stwierdzeniem, że ślepotą Ariel już nic dla niego nie znaczy. A to nieprawda. Znaczy bardzo dużo. Zwłaszcza teraz, kiedy Ariel już nie ma.

To z jej powodu wybrał okulistykę, a ona była z tego dumna. Nie wolno mu się wycofać. Za jej życia jedynie mu się wydawało, że zmiana specjalizacji jest niemożliwa, bo teraz, po jej śmierci, stało się to absolutnie nierealne. Kontynuacja tego kierunku jest nieunikniona. Tylko w ten sposób może uhonorować pamięć ukochanej siostry. Poza tym nie wolno mu zmarnować tylu lat poświęconych okulistyce. Tym bardziej że teraz musi zadbać o przyszłość Cory'ego.

W pewnej chwili zorientował się, że od rana znajduje się pod przemożnym wpływem tej pięknej krainy, a jej surowy charakter działa na niego inspirująco. Może okulistyka daje możliwości, które przeoczył? Prywatna praktyka to bardzo lukratywny interes, ale coś takiego byłoby zdecydowanie bardziej rozwijające, mogłoby mu przywrócić radość z wykonywania tego zawodu. To też byłaby okulistyka...

Otrząsnął się. Bzdura! Jeszcze nic tu nie zrobił. Może się okazać, że wcale mu się tu nie spodoba. Nie jest wykluczone, że jutrzejszy dzień upłynie mu na narzekaniu na muchy, na upał oraz na niemożność wypicia porządnej *café latte*. Przez okno

przyczepy popatrzył na pustynię. Kurczę, tu nie będzie żadnej *café latte*.

Poza tym jest jeszcze Cory. Z przykrością rozstawał się z nim na sześć tygodni. Przez ostatni rok chłopiec tyle przeszedł, że nie wolno przenosić go w kompletnie inne otoczenie. Cory potrzebuje stabilizacji, a nie tego, by wujek w poszukiwaniu satysfakcji z pracy ciągał go po buszu. Nie, dopóki Cory nie wyjdzie z okresu żałoby, należy się skoncentrować na jego potrzebach. Georgina opuściła przyczepę, więc ruszył za nią.

– Co teraz robimy?

– Rób, co chcesz. – Wzruszyła ramionami. – Ja biorę iPoda i idę nad wodę do Profa, a ty możesz zapoznać się z historiami chorób naszych pacjentów. Megan ci je udostępni.

– Gdzie tu się śpi?

Wskazała ręką na rozstawione nieopodał namioty.

– Ty śpisz z Jimem, ja z Megan. Prof ma cały namiot dla siebie.

– Toaleta? Prysznic? Czy chodzi się do strumienia?

– Nikt ci tego nie zabroni. Miejscowi myją się w strumieniu: – Jeszcze raz wskazała na namioty. – Korzystamy z chemicznej toalety, którą wozimy ze sobą, oraz z buszowego prysznica.

– Jak to wygląda?

Roześmiała się, uprzytomniwszy sobie, że pomimo rozkosznej blizny na brodzie Andrew prawdopodobnie nigdy w życiu nie biwakował.

– Domyślam się, że nie byłeś w skautach.

– Czy to widać?

– Do brezentowego worka ze specjalną zakrętką nalewa się wody i zawiesza na gałęzi, żeby się ogrzała, a potem pociąga się za łańcuszek i jest prysznic.

– Brzmi to zachęcająco – odparł z uśmiechem, a ona podniosła oczy do nieba.

– Jasne. Ahoj, przygodo! – Wzruszyła ramionami.

Odchodząc, pokręciła głową, by odgonić od siebie obraz Andrew pod prysznicem. Przynajmniej nie powiedział: „Osobliwy patent...” Jak się wyrwało Joelowi po tym, gdy pierwszy i ostatni raz skorzystał z tego urządzenia. Ten, kto był autorem stwierdzenia, że miłość jest ślepa, wiedział, co mówi. Ao okazała się astralną idiotką.

Gdy zapadł zmierzch, w powietrzu zaczął unosić się zapach ogniska oraz tradycyjnych potraw przygotowywanych przez mieszkanki buszu. Tego wieczoru szykowały uroczystość na cześć profesora. Tradycja nakazywała witać gości wystawnym posiłkiem. Georgina przepadała za tymi potrawami. Zespół okulistyczny był samowystarczalny, zawsze woził ze sobą stosowne zapasy jedzenia, ale tym razem chodziło o tradycję, więc miejscowi odmowę współuczestnictwa w biesiadzie uznaliby za obrazę.

Na tę okoliczność włożyła jeden z wielu barwnych sarongów, które otrzymywała w prezencie od mieszkańców osad rozsianych w buszu. Wybrała brązowy w plamy koloru ochry, między którymi biegła linia białych kropek ilustrująca przebieg

strumienia, a do tego brązową koszulkę z długimi rękawami. Nawet w środku lata po zachodzie słońca w buszu robi się chłodno.

Megan i John zrobili dla niej miejsce w kręgu otaczającym ognisko. Gdy się sadowiła, usłyszała zrzędlawy głos profesora zwiastujący jego przybycie. Wiedziała, że zgodnie z obyczajem usiądzie wraz ze starszymi po drugiej stronie ogniska.

Widziała, jak profesor przywołuje do siebie Andrew.

Ogarnęło ją idiotyczne uczucie rozczarowania. Uprzytomniła sobie wtedy, że myśli o nim nie dają jej spokoju, że nieustannie mu się przygląda. W co jest ubrany i jak wygląda w blasku płomieni. Usiadł na ziemi bez najmniejszego wahania. Nie poprosił o koc albo krzesło ani nie skrzywił się jak jego poprzednicy, jakby siadanie na ziemi groziło śmiercią lub kalectwem. Jak Joel. Andrew po prostu wykonał polecenie profesora i usiadł na wskazanym miejscu.

Widziała go doskonale. Jego jasne włosy i karnację jeszcze bardziej podkreślał brąz prawie wszystkich pozostałych twarzy oraz atramentowa czerń nocy, z kolei blask płomieni padający na jego twarz wydobywał biel blizny na brodzie. Miał na sobie jasne dzinsy i niebieską koszulkę polo.

Jakiś czas później połapała się, że jest tak zasłuchana w jego głos i śmiech, że praktycznie nie słyszy niczego innego. Patrzyła, jak dziękuje za wręczone mu jedzenie i jak je bez szemrania. Podejmowano ich pieczonym kangurem, za którym przepadała. Zajadając się smakowitym mięsem, zauważyła, że Andrew z uśmiechem przyjmuje dokładkę.

Gdy uczta dobiegła końca, rozległ się ryk tuby, gwar ucichł na chwilę, po czym odezwało się rytmiczne stukanie patykami, do którego dołączył śpiew starszyny. Do ognistego kręgu wkroczyła grupka młodzieńców, prawie nagich i pomalowanych w tradycyjne wzory. Przeskakując z nogi na nogę, przesuwali się po okręgu. Ich taniec był ilustracją starodawnej opowieści łowieckiej.

Andrew z zapartym tchem obserwował grę światła na rozedrganych ciałach. Miał wrażenie, że tancerze wyłonili się spod ziemi. Chłonał tę scenę wszystkimi zmysłami. Siedząc pod parasolem gwiazd, wciągał w nozdrza zapach ogniska i jedzenia, wsłuchiwał się w trzask płomieni, muzykę i coś znacznie więcej: w pierwotne rytmy tej ziemi.

Jednocześnie przez cały czas był świadomy obecności Georginy. Ciepły blask ognia ślizgał się po jej miedzianych włosach i jasnej skórze, a ona wyglądała jak posąg. Chyba miała na wargach błyszczący, bo jej usta kusząco połyskiwały. Czyja tu wytrzymam sześć tygodni, nie całując tych warg?

Georgina Lewis, dziewczyna z buszu, obudziła jego uśpioną seksualność. To odkrycie zaskoczyło go w tym samym stopniu, co nieoczekiwany nawrót zainteresowania okulistyką. Przyjemna jest niecierpliwość związana z oczekiwaniem na pierwszy dzień w pracy, a jeszcze przyjemniejsze odczuwanie zainteresowania kobietą. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jaką moc ma rozpacz i do jakiego stopnia niszczy człowiekowi życie.

Rytm muzyki się zmienił i wewnątrz kręgu stanęli mężczyźni, niektórzy brodaci,

oraz kobiety, wszyscy pomalowani w tradycyjne wzory. Andrew raz w życiu widział taniec aborygenów w teatrze w Sydney i bardzo mu się to przedstawienie podobało, ale ten występ był rewelacyjny. Wręcz porażające duchowe przeżycie pod wygwieżdżonym niebem.

Tańce trwały jeszcze jakiś czas, a gdy dobiegły końca, wszyscy się rozeszli. Andrew siedział jeszcze przez chwilę, podziwiając rozkołysany brązowy sarong, który powoli oddalał się w mrok, po czym wstał i ruszył za Georgina.

– Wspaniały wieczór – powiedział, zrównując się z nią.

– O tak – odrzekła z uśmiechem. – Bardzo lubię te uroczystości.

Przystanął i wysoko zadarł głowę. Niebo nad Sydney wyglądało zupełnie inaczej. Tutaj było tak ciemne, że wydało mu się, że liczba gwiazd się potroiła. Przyszło mu na myśl, że to anioły zwiesiły z nieba gigantyczny żyrandol.

– To niebo jest niesamowite.

– To prawda – przyznała cicho. – Powinieneś kiedyś pod nim się przespać. Bez namiotu. W samym śpiworze.

– Nie miałbym nic przeciwko temu. – Przeniósł na nią wzrok. Na jej twarzy dostrzegł niemy zachwyt i niemal przestał oddychać, żeby go nie spłoszyć.

– Jeżeli chcesz, to jak wrócimy do Byron, zabiorę cię na taki biwak – powiedziała nieco rozmarzonym tonem.

– Naprawdę? – Noc pod gwiazdami z Georginą... Oszołomiona pięknem nocnego nieba dopiero po chwili zorientowała się, co mu zaproponowała. Zrobiła to automatycznie, każdemu gościowi złożyłaby taką ofertę, ale wobec Andrew...

– Jasne – odpowiedziała. Miejmy nadzieję, że kilka tygodni w buszu ostudzi jego zapal.

– Podejrzewam, że tu nie ma zasięgu – rzekł niespodziewanie, wyjmując z kieszeni komórkę.

– Nie ma – odparła ze śmiechem. – Będziesz musiał skorzystać z połączenia satelitarnego.

– Trudno. Teraz już za późno. Zadzwoń rano.

– Dopiero wpół do dziewiątej.

– O tej porze ośmiolatki już dawno śpią. Zwolniła kroku. Ośmiolatek? On ma dziecko? Dlaczego nie, kretynko? Jest przystojny jak Adonis. Zapewne jego żona jest piękną blondynką z pupą w kształcie jabłka, a nie gruszki. Pracuje na pełnym etacie i jest doskonałą gospodynią. To, że Andrew nie nosi obrączki, nie znaczy, że nie jest w związku. I że nie ma dzieci. Przecież nie interesują jej faceci z Sydney, więc co ją to obchodzi?

– Ty też masz ośmioletnie dziecko?

Ten absurdalny pomysł wywołał uśmiech na jego twarzy.

– Nie. Cory jest synem Ariel.

– O nie! – westchnęła pełna współczucia dla kolejnego chłopca, który stracił matkę. Wieczorem nieraz słyszała, jak Charlie oplakuje matkę, której nie zdążył poznać. – Biedactwo.

Jej empatyczność ujęła go za serce.

– To prawda. To dla niego wielki wstrząs. Zdziwiło ją, że uznał za konieczne poinformować ją o czymś tak oczywistym. To zrozumiałe, przecież to dziecko straciło matkę. Miała dwadzieścia lat, gdy umarła ich matka, i bardzo to przeżyła.

– Mieszka w Sydney? Andrew przytaknął.

– Mieszka ze mną. Jestem jego prawnym opiekunem.

– Dajecie sobie radę? – zapytała ostrożnie, świadoma, że nie jest im łatwo.

– Oczywiście. – Nie miał ochoty rozwijać tego wątku, tym bardziej że wcale nie było to takie oczywiste. Pomyślał, że Georgina jest tak zaradna, że nie zrozumie, jak trudno jest mu przełamać smutek Cory'ego.

– Ta praktyka to dla ciebie jak dziura w moście – rzuciła, nie wierząc w te zapewnienia.

– Zupełnie nie w porę – przyznał szczerze.

– Jest u ojca?

– Skądże! – obruszył się. – Jego ojciec nigdy nie zaistniał w jego życiu. – Na szczęście, pomyślał.

Intuicja podpowiadała jej, że za tym jednym zdaniem kryje się coś więcej.

Tymczasem Andrew walczył z mieszanymi uczuciami: wściekłością skierowaną przeciwko byłemu mężowi Ariel i swoją bezradnością wobec problemu ich syna. Teraz nadarza się okazja dać upust emocjom, które od dawna tłumi.

– To nieudacznik. Był pierwszym facetem, przed którym Ariel się otworzyła, ale okazał się kanalią. Wierz mi, to nie było dla niej łatwe. Z powodu ślepoty była bardzo nieśmiała i nieufna.

– Wyobrażam sobie. – Jak można być w związku z kimś, kogo się nie widzi? Nie można z nim wymieniać spojrzeń ani dostrzec fałszu.

Andrew do tej pory miał w uszach płacz Ariel, gdy Wendell złamał jej serce.

– Nie chcę go oglądać. Nigdy – rzekł z emfazą.

– Odnoszę wrażenie, że darzysz go wyjątkową nienawiścią – zauważyła Georgina.

– Jeszcze większą pretensję mam do siebie, bo powinienem był się zorientować, co to za typ.

Nie była psychologiem, ale od pierwszej chwili, gdy tylko zobaczyła go na lądowisku, miała wrażenie, że Andrew ma sporo problemów.

– Nie ponosisz odpowiedzialności za wybór twojej siostry.

– Możliwe... ale kiedy nasi rodzice emigrowali do Anglii, obiecałem im, że będę się nią opiekował.

– Mówisz o niej, jakby była figurką z kruchej porcelany albo kryształu.

– Nic z tych rzeczy – prychnął. – Ariel była powściągliwa, to prawda, ale jak lwica broniła niezależności. Pamiętam, jak dziesięć lat temu się uparła, że nie przeniesie się z rodzicami do Anglii. I postawiła na swoim.

– Chciała sama o sobie decydować. To dobrze. Miała prawo pokochać kogoś, kogo sama wybierze. Nie miałeś tu nic do powiedzenia. – Nie wiadomo dlaczego, nie



podobało jej się, że Andrew obwinia się z powodu Wendella. To bardzo destrukcyjne myślenie. – Uważam, że powinieneś zadać sobie pytanie, czy była z nim szczęśliwa.

Pokiwał głową.

– Tak, przez jakiś czas była szczęśliwa. Pierwszy raz widziałem ją tak roześmianą i radosną.

– No widzisz. Twoja siostra była szczęśliwa. Przecież tego dla niej chciałeś, prawda?

– Chyba tak. Szkoda tylko, że zawsze jest druga strona medalu.

– Amen. – Poznała tę drugą stronę medalu na własnej skórze.

Popatrzył na nią zaskoczony żarliwością jej wypowiedzi. Nabral podejrzania, że i ona zakosztowała nieszczęśliwej miłości.

– Zrobił chociaż tyle dobrego. Ariel bardzo kochała Cory'ego.

Pokiwała głową.

– To dobrze, że miał matkę, mimo że tak krótko. Z kim go teraz zostawiłeś?

Zawahał się.

– Z ciotką, siostrą naszej matki. Ona za nim szaleje. – Poczuł, że musi się usprawiedliwić. – Przeprowadziła się do mnie na sześć tygodni, żeby się nim zaopiekować.

Starsza pani z ośmiolatkiem po takich przeżyciach? To chyba nie najlepiej dobrana para.

– Poradzi sobie?

On też miał wątpliwości.

– Oczywiście. Jest bardzo zaradna. Na pewno będzie się polubiły.

Zignorowała tę aluzję.

– Jak Cory to przyjął?

Przypomniało mu się spojrzenie smutnych niebieskich oczu siostrzeńca, takich samych jak oczy jego matki.

– Ze zrozumieniem.

Zerknęła na niego z powątpiewaniem. Ponieważ miała bezpośrednio do czynienia z osieroconym ośmiolatkiem, była przeświadczona, że lepiej niż Andrew potrafi wczuć się w sytuację Cory'ego.

Patrzyła na niego z wyrzutem.

– Musiałem wyjechać – tłumaczył się. – Przesuwałem termin tej praktyki kilkakrotnie. – Chciał, by zrozumiała, jak trudną musiał podjąć decyzję.

Pokiwała głową, widząc, ile w nim sprzeczności. To nie jej sprawa. Nie do niej należy jego ocenianie.

Przystanąli, bo dotarli do namiotów. Pomimo tej trudnej rozmowy Andrew uznał wieczór za wyjątkowo udany. Zwłaszcza przechadzkę pod wygwieżdżonym niebem. Ku swojemu zdziwieniu wcale nie chciał, by ten dzień się skończył.

– O której zaczynamy? – zapytał.

– Koło dziewiątej.

– Odpowiada mi ten buszmeński czas – roześmiał się. – Myślę, że bez trudu się

przestawię.

Podobał się jej ten spacer, a towarzystwo Andrew okazało się więcej niż przyjemne. Pachniał dobrym mydłem i mężczyzną. Niespodziewanie dla niej samej poczuła chęć dotknięcia jego blizny. To ją przeraziło.

– Nie radzę – rzuciła, pospiesznie umykając do swojego namiotu, żeby nie ulec natrętnej pokusie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Obudził się wyspany, mimo że po głowie chodziły mu dziwne myśli na temat Georginy, a w sąsiednim namiocie chrapał profesor.

Dłuższą chwilę zajęło mu oswojenie się z ciszą buszu. Jego słuch domagał się odgłosów dwudziestego pierwszego wieku, a tu ani szumu ruchu ulicznego, ani syren pojazdów służb ratunkowych, ani łoskotu lądujących samolotów. Jedyne brzęczenie owadów, wyjątkowo donośne, i od czasu do czasu poszczekiwanie psów, kasznięcie lub kwilenie niemowlęcia. Jak w epoce kamienia łupanego.

Zanim zjawił się tu biały człowiek, ludzie żyli w grupach rodzinnych. Za dnia polowali i zbierali pożywienie, a wieczorami gromadzili się na posiłek przy ognisku. Łączyło ich bardzo silne poczucie wspólnoty. Po raz pierwszy od kilku miesięcy Andrew zasnął niemal natychmiast.

Gdy się obudził, była ósma. Usiadł gwałtownie, nasłuchując odgłosów z zewnątrz. Normalnie o tej porze jechał do pracy, wściekły na zakorkowane ulice. Uśmiechnął się z zadowoleniem. A tutaj coś na siebie narzuci, uchyli płachtę namiotu i już będzie w pracy.

– Dzień dobry. – Georgina odwróciła wzrok, by nie patrzeć na jego brzuch, gdy wychynąwszy z namiotu, zaczął się leniwie przeciągać.

– Zaspałem, przepraszam. To chyba przez to świeże powietrze.

– Herbata, kawa? – zapytała, udając obojętność.

– Kawa. Z mlekiem. I cukrem.

Podchodząc, obserwował, z jaką wprawą Georgina zdejmuje patykiem kociołek z ogniska, wlewa kawę do kubka, dodaje mleko i cukier.

– Dzięki – powiedział, zaglądając do kubka.

To nie to, co on lubi najbardziej. Nie ma pianki posypanej szczyptą kakao, a i kubek nie ma pokrywki z bardzo praktycznym otworkiem. Nie ma prawdziwej kawy.

– Obawiam się, że nie jesteś do tego przyzwyczajony – powiedziała, widząc jego zadumę.

Skosztował tego napoju. Gorący, bardzo mleczny, słodki. Po prostu boski. Jak Georgina.

– To jest lepsze.

W jego oczach dostrzegła zachwyty. O rany.

– O której wstałaś?

– Jako wiejska dziewczucha wstaję razem ze słońcem – zażartowała w nadziei, że rozmowa nie zejdzie na tematy osobiste.

Lata pracy w systemie zmianowym obrzydziły mu poranne wstawanie, a największym świętem dla niego było weekendowe wylegiwanie się w łóżku. Przyjemnie byłoby namówić Georginę na takie niedzielne świętowanie.

– Tam są jajka na bekonie – powiedziała, podczas gdy on nie spuszczał z niej spojrzenia. – Nałóż sobie. Jutro ty robisz śniadanie. – Czym prędzej odeszła od ogniska, bo czuła, że brakuje jej tchu.

Gdy przyszło im wziąć się do pracy, uznała, że już nad sobą panuje. Czekają sześć tygodni takiej bliskości. Będą razem pracować, razem jeść, spać metr od siebie. Ten facet jest wyjątkowo atrakcyjny, a takich tu niewielu. Skończy praktykę i wróci do Sydney, do swojego prywatnego gabinetu i do siostrzeńca. Przysięgała sobie, że już nigdy więcej nie zakocha się w facecie z miasta i dotrzyma słowa. Nie umiera się z pożądaniami, a ona jest dorosła.

Ojciec często powtarza, że w życiu nie można mieć wszystkiego. I Andrew Montgomery zalicza się do tej kategorii. Ale krótki romans wchodzi w rachubę, bo on chyba też jest zainteresowany. Nie była jednak pewna, czy może sobie na to pozwolić.

Przede wszystkim dlatego, że nigdy nie udało się jej skutecznie oddzielić seksu od miłości. Miała kilku kochanków, ale za każdym razem traktowała to poważnie. Z niekłamanym podziwem patrzyła na kobiety, które podchodzą do tych spraw bez większych sentymentów. Być może nie znalazłaby się pod tak silnym wpływem Joela, gdyby potrafiła zdobyć się na większy dystans.

Joel był niesamowity. Wobec jego elegancji i elokwencji jej wcześniejsi przyjaciele byli po prostu... dzieciakami. Początkowo się opierała, ale on się wziął i w końcu mu uległa. Wpadła po uszy.

Wcale nie była naiwna. Miała dwadzieścia pięć lat. Była dyplomowaną pielęgniarką oraz położną i większą część życia spędziła na farmie wśród prymitywnych i zawsze napalonych pastuchów. Wyjechała do Darwin, by dokończyć studia i tam poznała Joela, który odbywał staż na oddziale ratunkowym. Dwa miesiące później się zaręczyli, a ona pogodziła się z myślą, że przyjdzie jej żyć z dala od farmy. Upłynęło kilka miesięcy, kiedy dowiedziała się o śmierci Jen, a niedługo potem, że matka ma raka. Wróciła wówczas do domu, by się nią opiekować, a Joel zachowywał się jak naburmuszone dziecko.

W ogóle nie obchodził go jej smutek ani rozpacz reszty rodziny. Chyba nawet nie zauważył cierpienia matki. Nie wspierał jej ani nie współczuł. Złamał jej serce, gdy nie przyjechał do Byron na pogrzeb. Tego dnia sześć lat temu nad grobem matki przysięgła sobie, że już żaden mężczyzna nie zabierze jej z farmy.

Gdyby pokochała Andrew, świadczyłoby to o jej głupocie. Jego miejsce jest w Sydney i przy osieroconym siostrzeńcu. Nie warto wzdychać do czegoś, co jest nieosiągalne, jak mawia ojciec.

Andrew tryskał entuzjazmem. Rozmowa z ciotką rozwiała jego wątpliwości, a zdawkowe odpowiedzi Cory'ego utwierdziły go w przekonaniu, że na gorsze nic się nie zmieniło. W związku z tym, zacisnąwszy zęby, powiedział sobie, że chłopcu nic nie brakuje i że ta rozłąka nie potrwa dłużej niż sześć tygodni.

Profesor polecił mu i Georginie ocenę stanu pacjentów, co okazało się fascynującym zajęciem. Do tej pory bowiem nie zdawał sobie sprawy, jak trudny jest pomiar pola widzenia na pustyni. Czytanie liter z tablicy nie wchodziło w rachubę, bo starsi pacjenci często byli analfabetami. Do tego dochodził problem bariery językowej, więc byli zmuszeni korzystać z pomocy młodszych pacjentów,

przydzielając im rolę tłumacza.

Od Georginy wymagało to ogromnej cierpliwości, tym bardziej że cały proces się wydłużał, bo od czasu do czasu musieli przerywać badanie, żeby mogła mu coś wyjaśnić. Ale tutaj nikt się nie spieszył.

Odniósł wrażenie, że część pacjentów to znajomi Georginy, co bardzo ułatwiało jej pracę. Spoglądając na jej włosy, bursztynowe oczy i szeroki uśmiech, oczami duszy widział ją, jak wychodzi z butików w Double Bay, ale sama mu powiedziała, że jest dziewczyną z farmy, czego dowodem była swoboda, z jaką zwracała się do tych ludzi.

Uprzejma, grzeczna i roześmiana. Wraz z nią śmiali się pacjenci. Zawsze znajdowała powód do śmiechu.

Jej wyjątkowe podejście do najmłodszych wprawiało go w zdumienie.

– Masz dzieci? – zapytał w wolnej chwili.

– Nie – odparła, a on zauważył smutek w jej oczach. Wzruszył ramionami.

– Byłabyś kapitalną mamą.

– Mam na głowie cały program zdrowotny, że nie wspomnę o obowiązkach na farmie. Jestem potrzebna. Wystarczy mi tych zajęć. – Wezwała następną pacjentkę, ale gdy z tkliwym uśmiechem pochyliła się nad niemowlęciem siedzącym na biodrze badanej, zaczął się zastanawiać, czy za jej odpowiedzią nie kryje się coś więcej.

Dzięki Jimowi i Megan przed przyczepą ustawiła się czterdziestoosobowa kolejka, od niemowląt po starców. Georgina przeprowadzała badanie wzroku, a Andrew zapisywał jej obserwacje. Potem pacjent przechodził w ręce profesora. Przypominało to fabryczny taśmociąg, ale wszystko szło sprawnie i szybko. Co więcej, nikt się nie spieszył ani nie narzekał na długi czas oczekiwania, bez czego na pewno nie obeszloby się w Sydney. Do lunchu przyjęli połowę pacjentów.

Po przerwie Harry przekazał wodze Andrew, ale trzymał się w pobliżu. W krótkim czasie Andrew zetknął się z całym wachlarzem chorób oczu. Zaćma w różnych stadiach, zapalenie spojówek, wczesne stadia jaskry i kilka przypadków zwyrodnienia plamki żółtej. W tej sprawie Jim i Megan już skontaktowali się z kliniką w Darwin. Oraz pierwszy w jego karierze przypadek jaglicy.

– Tak, to jest to – potwierdził profesor. – W dzisiejszych czasach rzadkość, ale kiedy zaczynałem tu pracować... – pokręcił głową – jaglica była na porządku dziennym.

Chłopiec skarżył się na pieczenie oczu i światłowstręt, charakterystyczne objawy zapalenia rogówki i spojówki.

– Jeśli tego nie wyleczymy – ciągnął profesor – chłopak za dwadzieścia lat straci wzrok.

To schorzenie bardzo łatwo się leczy, pomyślał Andrew, i łatwo mu zapobiegać. Chłopiec ma dużo szczęścia. Prosta kuracja antybiotykami skutecznie niszczy bakterie wywołujące infekcję, niemniej jaglica nadal jest główną przyczyną ślepoty pod każdą szerokością geograficzną.

Do końca pracy wyselekcjonowali pięć przypadków zaćmy, które miały być

operowane następnego dnia. Ta perspektywa bardzo Andrew ucieszyła. Jest to zabieg bardzo prosty w warunkach sterylnej gabinetu, najnowocześniejszego sprzętu i licznego personelu, więc zdejmowanie zaćmy w przyczepie kempingowej na pustyni będzie niezapomnianym doświadczeniem.

Obóz powoli szykował się do nocnego odpoczynku. Georgina z grupką rozchichotanych dziewczynek skakała przez linkę kawałek dalej, pod drzewami siedzieli mężczyźni i kobiety, w skupieniu nad czymś pochyleni.

Wcześniej Andrew dowiedział się od Georginy, że są to członkowie spółdzielni artystycznej. Od dochodów ze sprzedaży ich obrazów, rzeźb i tkanin zależy dobrobyt całej społeczności. Podszedł do nich z pytaniem, czy może przy nich posiedzieć i popatrzeć, jak pracują.

Najbardziej zafascynowały go wzory z białych kropek. Przed Jilly, której został przedstawiony poprzedniego wieczoru, stała pokaźna rama z naciągniętym płótnem. Płasko ściętym patyczkiem kobieta kładła białe kropki na tło barwy ochry. Piękne, pomyślał. Ariel na pewno dobrze by się czuła w ich towarzystwie.

– Niesamowite, prawda? – odezwała się Georgina. Na biodrze trzymała grymaszące niemowlę, żeby dać odpocząć jego skołatanej matce.

– Szkoda, że nie ma tu Ariel – powiedział. – Te barwy byłyby dla niej wielką inspiracją. Od razu by to namalowała.

– Ariel malowała?

– Była świetną malarką – odparł z dumą w głosie.

– Myślałam, że przy tak zaawansowanej utracie wzroku to nie jest możliwe.

– Wszyscy tak myśleliśmy. Malowała piękne krajobrazy. Była bardzo dokładna i potrafiła stworzyć wrażenie głębi. Trójwymiarowości. Chciało się dotykać przedmiotów na jej obrazach, żeby poczuć ich kształt.

– Nie do wiary. – Instynktownie kojącym gestem potarła brodą główkę dziecka.

– Wiem, trudno w to uwierzyć. Widziała tylko barwne plamy. Nie miała pojęcia, jak ja wyglądam, jak sama wygląda... Nigdy nie widziała buzi Cory'ego...

Umilkł ogarnięty smutkiem i poczuciem winy z powodu cierpienia siostry. Jako jej brat bliźniak doskonale wyczuwał jej emocje. Widział, jak serce jej się kraje. To, co dla wszystkich matek jest oczywiste, jej nie było dane. A teraz nie zobaczy, jak jej dziecko się rozwija.

Macierzyński gest Georginy przypomniał mu, jak często Ariel dotykała Cory'ego. Pozbawiona najważniejszego zmysłu, kompensowała to dotykiem i fizycznym okazywaniem miłości.

Odkaszlnął.

– Barwy i pasja, z jaką malowała – podjął – zapierały dech w piersiach. Byłem bliski namówienia jej na wystawę, kiedy przypętał się Wendell.

Aha. Jej były. Nic dziwnego, że Andrew go tak nie lubi.

Gdy nieopodal podniosła się wrzawa, bo półnaczy chłopcy zaczęli grać w piłkę, ogarnęła go bezsilna złość i frustracja z powodu ograniczeń, z którymi przyszło Ariel się borykać w jej krótkim życiu. Dlaczego akurat jemu wszystko przyszło z

łatwością? Dlaczego Ariel musiała odejść, mając Cory'ego i całą przyszłość przed sobą?

Czuł, jak ogarnia go bezsilność. Kopanie piłki to najlepsze remedium na ponure emocje. Biegać, kopać, byle im się nie poddać.

– Dołączę do nich.

– To bardzo brutalna wersja futbolu – ostrzegła go.

– Bardzo dobrze.

Przyglądał się im przez kilka minut, stojąc na granicy boiska. Georgina miała rację, to nie był elegancki futbol. Zawodnicy co chwila na siebie wpadali, faulując się bezlitośnie. Andrew uznał, że tego właśnie mu trzeba, żeby przepędzić demony. W końcu piłka wylądowała u jego stóp. Podniósł ją z ziemi.

Jeden z chłopaków uniósł dłonie w przeproszającym geście.

– Mogę się przyłączyć? – zapytał Andrew.

– Doktor chce z nami zagrać! – rzucił chłopak przez ramię.

Zawodnicy się naradzali.

– Zapraszamy! – zawołał po chwili inny chłopak.

Z szerokim uśmiechem na twarzy kopnął piłkę i puścił się za nią. Chłopcy biegli równo z nim. Ale Andrew był w bojowym nastroju, a ponieważ kiedyś nieźle biegał, miał przecucie, że jest lepszy od dzieciaków z buszu. I nie pomylił się, aczkolwiek kosztowało go to sporo wysiłku.

Georgina z uśpionym dzieckiem na rękach obserwowała go z oddali. W kłębówisku ciał nietrudno było go dostrzec, bo zrzucił z siebie koszulkę. Pod pretekstem obserwowania gry podziwiała jego obnażony tors, wyobrażając sobie, jak przyjemnie byłoby oprzeć na nim głowę.

– To ten.

Sekundę później uprzytomniła sobie, że marzyła na głos.

– Słucham? – zapytała spłoszona.

– To ten – powtórzył profesor. – Andy. Na niego czekałem.

– Harry, nie.

Profesor przeniósł wzrok z grających na Georginę, by uważnie jej się przyjrzeć. Nigdy nie nazywała go Harrym.

– Georgino, on jest idealny. Popatrz na niego. Przecież nic innego nie robi, tylko pożera go wzrokiem.

– Harry, jesteśmy dla niego tylko kolejnym szczeblem do kariery. On ma zobowiązania w Sydney. Ma też na wychowaniu siostrzeńca.

– On się tu dobrze czuje. Nie to co ci jego poprzednicy. Patrz, jak gania z tymi chłopakami.

Przytaknęła w chwili, gdy trzech z nich powaliło go na ziemię.

– Harry, nie licz na niego. On tylko złamie ci serce.

– Szkoda. – Profesor bacznie się jej przyjrzał.

Harry się starzeje, pomyślała zaniepokojona. Ma coraz rzadsze włosy, zaczął się garbić, krok ma już nie tak sprężysty jak dawniej. To wszystko stało się w ciągu

minionych sześciu miesięcy. Tak się przyzwyczaiła do jego niespożytej energii, że te objawy napawały ją niepokojem.

Przez kilka minut w milczeniu obserwowali grających.

– Georgie... mam raka.

Mimo że nie powinno to być dla niej zaskoczeniem, bo słyszała jego kaszel i widziała pokrwawione chusteczki, zeszywniała z przerażenia. Pokiwała głową.

– Wiem.

Chciała go objąć, powiedzieć mu, że praca z nim jest dla niej wielkim zaszczytem. Że to wielki przywilej. Otwierała i zaciskała pięści. Harry James jeszcze nie umarł i na pewno takie afektowane gesty wprawiłyby go w zakłopotanie. Serce o mało jej nie pękło, gdy poczuła jego rękę na ramieniu.

– Ile ci dają?

– Kilka miesięcy. Może rok.

– Nie zgodziłeś się na leczenie. – To było stwierdzenie faktu. Profesor od dawna miał filozoficzne podejście do życia. Uważał, że każdy dzień jest błogosławieństwem, a gdy nadejdzie czas, nie należy się opierać.

– Spokojnie. Miałem piękne życie – zauważył.

– Nie zgadzam się. Na świecie są miliony sukinsynów, którzy dożyją setki. Dlaczego ty?

– Mój Boże, Georgie. Kto by chciał żyć tak długo? Muszę tylko znaleźć następcę, który będzie kontynuował moją pracę. Mam nadzieję, że zostanie mi jeszcze trochę czasu na moczenie kija.

Roześmiała się przez łzy.

– Postaram się o tego następcę, obiecuję. I jeszcze będziesz chodził na ryby.

Ale to nie może być Andrew.

Dwie godziny później omal nie spełniło się jej marzenie o jego ramionach, bo niemal się z nim zderzyła, gdy wracał spod prysznicza.

– Uważaj. – Chwycił ją za ramię, gdy wycofywała się z jego namiotu, dokąd po coś posłał ją Jim. – Inspekcja?

Miał tylko ręcznik na biodrach. Tak nisko, że jej dech zaparło.

– Hm... nie. – Za nic w świecie nie chciała, by pomyślał, że go szuka, bo uganianie się za nim byłoby nierozsądne. Idiotyczne. Absurdalne... Podniecające. – Przyszłam po tę książkę... Jim mnie prosił.

Pokiwał głową. Patrzyła na niego wzrokiem spłoszonej sarny, a on czuł nieodpartą chęć odgarnięcia jej kosmyka włosów z czoła.

– Georgino...

Nie mogła nie zauważyć jego rozszerzonych źrenic.

– Nie. Nie rób tego.

Wyciągnął ramię w stronę jej twarzy. I nagle płomień pożądania w jego oczach zgasł. Andrew oburącz chwycił się za prawy bok.

– Co się stało? – Gdy oderwała jego dłonie od boku, zauważyła potężny siniak.



Gdyby nie fascynacja jego brzuchem, być może zauważyłabyś to wcześniej. – Andrew!

– Nic mi nie jest.

– Ostrzegałam, że oni ostro grają. – Gładziła delikatnie zasinione miejsce. – Nie masz trudności z oddychaniem? Nie połamali ci żeber?

– Nie mam żadnych trudności. – Zatkaną go, gdy tylko go dotknęła. – Nic mi nie jest.

– Rano będzie o wiele gorzej.

– Nic mi nie będzie – wycedził przez zęby, doskonale wiedząc, że w tym stroju trudno będzie mu ukryć reakcję, jaką sprowokowały jej palce. Nakrył jej dłoń ręką.

– Poproś Jima albo Profa, żeby to obejrzel.

– Nic mi nie będzie – powtórzył. Odsuń się, wyjdź. – Na razie. Do zobaczenia.

Uważnie go omijała, co w ciasnym wejściu do namiotu wcale nie było łatwe.

Odetchnął z ulgą. Zna Georginę niecałe dwa dni, a perspektywa powrotu do Sydney już wydaje mu się nieciekawa.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego ranka wstał wcześniej, ale Georgina już była na nogach. Mimo że kładł się spać obolały, spał jak zabity. Padając na ziemię zaatakowany przez współzawodników, czuł, że przyjdzie mu za ten mecz drogo zapłacić. Pieścił w myślach wspomnienie delikatnych palców Georginy, gdy dotykała jego boku. Zasypiając, obiecał sobie, że jak tylko rano wstanie, od razu weźmie się ostro do roboty, by nie zwracać na nią uwagi.

Zgodnie z umową postawił na ogniu kociołek z wodą, usmażył jajecznicę na bekonie i podgrzał fasolę. Pełną piersią wdychając rześkie powietrze, czuł się jak tramp z piosenki „Waltzing Matilda”. Innymi słowy, jak prawdziwy mężczyzna. Mógłby tak przeżyć całe życie.

To uczucie nie opuszczało go przez cały dzień. Pierwszy zabieg usunięcia zaćmy rozpoczął się punktualnie o dziewiątej. Profesor i Georgina pracowali jak doskonale zgrany tandem, więc pomagając im, Andrew dokładał wszelkich starań, aby jak najszybciej podjąć ich rytm pracy.

Pierwszą pacjentką była siwowłosa Daisy. Na początek Georgina zakropiła jej środek rozszerzający źrenice i zarazem znieczulający.

– Andy, ja przeprowadzę pierwszy zabieg – odezwał się profesor, podczas gdy Georgina zawiązywała mu biały fartuch. – Resztę zostawiam tobie. Na pewno zainteresuje cię przypadek Dona.

– To ten z zaćmą obuoczną?

– Tak. Najpierw zajmiemy się jego gorszym okiem. Operowałeś kiedyś starą metodą zewnątrzokową?

– Jeszcze nie, ale chętnie spróbuję.

– Tak myślałem. – Profesor się uśmiechnął. – I dlatego Don jest na końcu listy.

– Długo będzie musiał czekać na zdjęcie zaćmy z drugiego oka?

– Nie. Zrobimy to, jak wrócimy tu za miesiąc. Andrew był pełen podziwu, jak pewną rękę ma jego siedemdziesięcioletni mistrz. Uderzyła go też niezwykłość tak precyzyjnego zabiegu przeprowadzanego w tak prymitywnych warunkach, aczkolwiek mikroskop oraz reszta instrumentów w niczym nie ustępowały wyposażeniu największych klinik. A do tego chirurg należał do światowej elity.

Operacja trwała nie dłużej niż dwadzieścia minut. Georgina poprowadziła pacjentkę w drugi koniec przyczepy, gdzie stały wygodne fotele oraz kanapa. Podawała jej herbatę i herbatniki, po czym przystąpiła do badania pooperacyjnego. Mierząc Daisy ciśnienie, ze śmiechem o czymś jej opowiadała. Andrew nie spuszczał z nich spojrzenia. Pierwszy raz miał okazję widzieć pacjenta po zabiegu z tak małej odległości, być świadkiem jego radości z powodu odzyskania wzroku. To bardzo osobiste doświadczenie.

Do południa zoperowali jeszcze kilka przypadków.

I to była druga różnica, jaką zaobserwował. W mieście przeprowadza się jak najwięcej zabiegów, a czas trwania każdego z nich jest ściśle określony. Tutaj był

czas na pogawędkę z pacjentem, na to, by przy nim przysiąść. Nikt nie zamierzał bić rekordów. Tutaj po prostu świadczy się bardzo potrzebną usługę, starając się, by każdy pacjent czuł się człowiekiem, a nie numerem w systemie.

Potem przyszła kolej na Dona z zaćmą obuoczną. Andrew nagle zdał sobie sprawę, że praca już od dawna nie budziła w nim takiego entuzjazmu. Wczoraj pierwszy przypadek jaglicy, dzisiaj zabieg zewnątrztorebkowego usunięcia zaćmy.

Oglądał zaciągnięte bielmem oko. Jak ten człowiek sobie radzi? Tak, jedyne, co się nie zmieniło wraz z jego wyjazdem z miasta, to to, że tam i tu jego rolą jest przywracanie ludziom wzroku. Szkoda, że nie mógł pomóc Ariel...

Tak zaawansowanej zaćmy nie można usunąć metodą emulsyfikacji. Należy fizycznie wyjąć całą soczewkę, co wymaga większego nacięcia oraz założenia szwów.

Pracował w skupieniu pod czujnym okiem profesora.

– Świetna robota – odezwał się Harry, gdy Andrew założył ostatni szew. – Sam lepiej bym tego nie zrobił. Przyda się nam ktoś taki jak ty.

Zaskoczony podniósł wzrok. Dobrze, że maska zasłaniała mu połowę twarzy. Przez moment rozważał możliwość rzucenia wszystkiego i przeprowadzenia się do buszu, żeby pracować u boku profesora z dala od wszystkich problemów, w zamian za ogromną satysfakcję z pracy.

Ale jest jeszcze Cory... Kolejna zmiana otoczenia nie posłuży chłopcu, a on sam powinien realizować dziecięce marzenie, poświęcając się retinopatii wcześniaczej, a nie pracy w buszu, gdzie pieniądze są żadne. Musi pracować w Sydney. Duże miasta oferują wiele możliwości: elitarne szkoły, specjalistyczne centra medyczne, najnowsze techniki. Tam ma szansę zapracować na godziwe utrzymanie Cory'ego.

W pewnej chwili dostrzegł ściągnięte brwi Georginy, która z niepokojem obserwowała profesora. Zerknęła na Andrew, a w jej oczach czaiła się prośba, by w delikatny sposób rozwiął nadzieje profesora.

– Dzięki, Harry, moje ego jest ci bardzo wdzięczne – rzucił swobodnym tonem, ściągając maskę, po czym mocno uściśnął dłoń Harry'ego. – Ale ja jestem uzależniony od *café latte*.

Starszy pan ryknął śmiechem.

– Racja. Tutaj nie znajdziesz *café latte* w promieniu wielu kilometrów!

Jego śmiech przerwał atak gwałtownego kaszlu. Georgina wyminęła Andrew, by pomóc profesorowi usiąść, po czym podała mu szklanekę wody.

– Co ci jest, Harry? Przełykając, profesor przytaknął.

– Nic, nic... dziecinko. – Ciągle pokaszując, masował prawą stronę klatki piersiowej. – Cholera...

Andrew z niepokojem obserwował tę scenę. Profesor miał sine wargi i wyglądał na bardzo zmęczonego. Andrew pomyślał, że należałoby podać mu tlen i już miał to powiedzieć, gdy Georgina zgromiła go wzrokiem.

– Pójdę... pójdę pomoczyć kija – powiedział cicho. – Dziękuję, Andy, spisałeś się na medal. Cieszę się... że będziemy razem pracować.

Z troską patrzyli, jak odchodzi.

– Prof źle się czuje – odezwał się Don z drugiego końca przyczepy.

Zdecydowanie, pomyślał Andrew. Bardzo trafna ocena, zważywszy, że Don jest praktycznie niewidomy.

– Co mu jest? – zwrócił się półgłosem do Georginy. Pierwszy raz widziała profesora w takim stanie, ale zapanowała nad strachem. Znała go bardzo dobrze i szanowała jego życzenia. Będzie chorował po swojemu i ma do tego prawo.

– Nie słyszałeś? Nic mu nie jest.

– Georgino... – Chwycił ją za ramię, gdy zamierzała odejść.

Widziała niepokój w jego oczach, ale nie miała siły o tym rozmawiać. Wymownie spojrzała na jego dłoń.

– Na imię mi George.

Puścił ją. Co go to obchodzi? On i tak wraca do Sydney. Do swojej ukochanej *café latte*. Profesor James umrze, a on, jak amen w pacierzu, będzie zadawał szyku, opowiadając kolegom, jak pracował z wielkim człowiekiem. Ale przez to profesor James nie zmartwychwstanie i nic już nie będzie tak jak dawniej.

Chociaż wstał tylko trochę później niż Georgina, i tak był ostatni. Zastał ją w kuchni, gdzie nalewała sobie herbatę. Gdy powitała go uśmiechem, uzmysłowił sobie, że na to czekał. Mimo że dopiero dochodziła szósta, słońce stało już całkiem wysoko. Ziewnął i się przeciągnął. Nie nawykł do tak wczesnej pobudki, toteż żeby się otrząsnąć, potrzebował sporego zastrzyku kofeiny. Jakby czytając jego myśli, Georgina podała mu kubek z kawą, co bardzo go zdziwiło.

– Wy, chłopcy z miasta, jesteście tacy sami – zażartowała. – Bez kawy nie ma z wami kontaktu.

– Dzięki. – Uśmiechnął się do niej sponad kubka.

Gdy się odwróciła, ogarnęło go rozczarowanie. Poranne słońce tak pięknie modelowało jej buzię, że miał ochotę ją pocałować. Poznali się ledwie trzy dni wcześniej, ale ta potrzeba była niepokojąco silna. Kurczę, tak dawno miał ochotę kogoś pocałować, że zapomniał, jakie to przyjemne.

Patrzył, jak Georgina kroi bekon. Wzmocniony kawą pomyślał, że powinien pomóc. Sięgnął po patelnię, by postawić ją na stojaku nad ogniskiem, po czym zaczął wbijać jajka do miseczki.

– Dzisiaj ja mam dyżur – rzuciła przez ramię.

– Nie szkodzi.

Zamrugnęła gwałtownie powiekami.

– Nie oczekuję, że zajmiesz się gotowaniem.

– Skoro wstałem, to mogę się przydać. Nie ma sprawy. – Wzruszył ramionami.

Przyglądała mu się, gdy kucnął przy ognisku, by wylać jajka na patelnię. Proszę, proszę. Samodzielny samiec. Mówiono jej, że istnieją takie okazy, ale w tej części świata byli bardzo rzadkim gatunkiem. Kiedy umarła matka, Georgina automatycznie przejęła jej opiekuńczą rolę i objęła nią profesora. Nie znaczy to, że ojciec, John czy

Harry tego od niej oczekiwali, ale oni wywodzą się z innej szkoły.

Tutaj nie rozmawiało się o wyzwoleniu kobiet, a Georgina nie uważała się za przykutą do kuchni. Po prostu czuła, że powinna ułatwiać życie ciężko pracującym mężczyznom. Nie traktowała tego jak wielkiego poświęcenia. Powodzenie farmy widziała jako sukces zespołowy.

Miała też do pomocy Mabel, dzięki której mogła zająć się na przykład księgowością. Ojciec i John od świtu do nocy harowali przy stadach, a ona na zmianę z Mabel pod nieobecność Johna zajmowały się Charliem. Nie uchylała się od żadnej brudnej roboty w gospodarstwie, czerpiąc satysfakcję ze świadomości, że jest członkiem zespołu Byron Downs.

W buszu była prawą ręką profesora. Wszystkie sprawy organizacyjne wzięła na siebie, żeby mógł zająć się tym, w czym był najlepszy. Zwłaszcza ostatnimi czasy. Drugą oprócz organizacji jego słabą stroną było gotowanie. W ogóle go nie interesowało. W ciągu ostatniego roku bardzo schudł, więc wzięła sobie za punkt honoru dopilnować, aby porządnie się odżywał.

W tej sytuacji mężczyzna, którego nie trzeba obsługiwać, wydał jej się czymś nie z tej ziemi. Wszyscy lekarze, którzy przewinęli się przez bazę, ani myśleli jej wyrezać. A ona była dumna ze swoich obowiązków, z tego, co robi, z ambulatorium okulistycznego oraz jego osiągnięć.

Zdała sobie sprawę, że ciągle na niego patrzy, na szerokie plecy, długie nogi i drgające mięśnie ramienia, którym mieszał jajecznicę. Niespodziewanie odwrócił się, rzucając jej leniwy uśmiech. O nie, nie. Facet, który umie gotować. Wielka sprawa.

– Prof jeszcze śpi? – zapytał, zdejmując patelnię z ognia. Zdażył się zorientować, że jak wszyscy w bazie profesor jest rannym ptaszkiem, mimo nocnych ataków kaszlu. Może po prostu postanowił trochę poleniuchować?

Wydarzenia poprzedniego dnia nasunęły mu podejrzenie, że profesor ma raka. To nie był byle jaki kaszel, a sinienie warg zawsze jest bardzo niepokojącym objawem. Profesor nie przyszedł na kolację, bo jeszcze przed zachodem słońca poszedł spać. Sądząc po ostrzegawczym spojrzeniu, które posłała mu Georgina, był to temat tabu.

– Zajrzę do niego, jak tu skończę – powiedziała równie zaniepokojona.

Gdy wszyscy zasiedli do śniadania, Georgina ruszyła w stronę jego namiotu. Intuicja podpowiadała jej, że dzieje się coś niedobrego.

– Profesorze, pobudka! – zawołała. Gdy nie odpowiedział, drżącą ręką odsłoniła klapę namiotu. – Profesorze... – Przyklękła przy nim, przerażona brakiem reakcji. Boże, niech on nie umiera. – Profesorze...

Poruszył się, po czym zaniósł kaszlem. Gładząc go po ramieniu w oczekiwaniu, aż atak minie, czuła, że jego skóra jest sucha i rozpalona.

– Georgie, nie mam siły się podnieść – wyszeptał chrapliwie. – Cholerny ból... – Dotknął tego samego miejsca na klatce piersiowej co poprzedniego dnia. – Chyba mam pęknięte żebro... od tego kaszlu. Nie mogę... oddychać. Muszę odpocząć... Przejdzie mi... za tydzień, dwa.

– Zajmę się tym.

Wyszła przed namiot. Postąpiła chwilę, by się uspokoić, by ustało kołatanie serca. Wolą nie myśleć, co to oznacza dla ambulatorium albo. dla profesora. Nieważne, co się stanie, poradnia musi przetrwać.

Gdy podeszła do Andrew, zmywał naczynia.

– Wzywam karetkę powietrzną – rzekła półgłosem. – Zbadaj go. Mówi, że ma pęknięte żebro, ale ja uważam, że to obrzęk płuc.

Mimo że zachowała pokerową twarz, w jej oczach ujrział strach.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się.

– Dobrze. – Miło, że dla odmiany ktoś zatroszczył się o nią. – Jak go zbadasz, połączę cię z lekarzem z pogotowia lotniczego.

– To rak, prawda?

– Tak.

Sięgnęła po telefon satelitarny i odeszła pod przyczepę, on z kolei wyjął z torby stetoskop i ruszył do namiotu profesora.

– Dzień dobry, Harry. Georgina powiedziała, że uskarżasz się na pęknięte żebro.

– To przez ten cholerny kaszel...

– Harry, możesz usiąść? – Podejrzewał, że w pozycji siedzącej profesorowi będzie łatwiej oddychać.

Z jego pomocą profesor usiadł. Osluchując go, miał wrażenie, że słyszy całą orkiestrę symfoniczną. Być może wystąpił nawet wysięk opłucnowy, bardzo częsty w złośliwych nowotworach płuc. Jednocześnie zauważył, że Harry ma opuchnięte dłonie i stopy. Prawdopodobnie z powodu niewydolności oddechowej doszło do niewydolności krążenia.

– Kiedy wykryto ten nowotwór?

– Rok temu – odparł profesor. – Wiem, wiem... to przez papierosy.

– Czasami ci najmdirzejsi grzeszą najbardziej – westchnął Andrew.

Dołączyła do nich Georgina.

– Jak on się czuje? – zapytała pogodnym tonem. Pod tą beztroską maską Andrew wyczuł ogromne zatroskanie.

– Dobrze, dziecko, dobrze. Zdecydowanie lepiej, od kiedy Andy pomógł mi usiąść.

Uśmiechnęła się do niego, po czym przeniosła pytające spojrzenie na Andrew.

– Przydałaby się kroplówka. Mamy furosemid? Aha, obrzęk płuc.

– Oczywiście. W przyczepie.

– Trzeba go ewakuować. – Należało umieścić profesora tam, gdzie znajduje się odpowiedni sprzęt ratunkowy. – Jak tu działa lotnicze pogotowie?

– Za godzinę wyląduje na pasie w Burrell.

– To daleko stąd?

– Około pół godziny.

– W porządku. Zaprowadzimy go do przyczepy, podłączymy do tlenu i kroplówki, a potem zawieziemy do Burrell.

– Nie – odezwał się stanowczym tonem profesor. Spojrzeli na niego zdziwieni, bo teraz traktowali go jak pacjenta, za którego podejmuje się niemal wszystkie decyzje.

– Jesteście oboje potrzebni tutaj... Musicie obejrzeć pacjentów po zabiegu, żeby na czas dojechać do następnej wioski... Odwiezie mnie Jim albo Megan.

Andrew spojrział na Gorginę, jej pozostawiając ocenę sytuacji. Czuł, że ma do niej pełne zaufanie, mimo że znał ją zaledwie od dwóch dni.

– Zgoda – powiedziała. – Możesz chodzić? Bo możemy cię przenieść.

– O nie. – Profesor pokręcił głową. – Pozostała mi teraz tylko moja godność. Sam pójdę.

Rzuciła Andrew spojrzenie, w którym kryła się prośba, by nie sprzeciwiał się postanowieniu profesora.

– Do przyczepy jest daleko – orzekł Andrew. – Myślę, że pozwalając mu iść, ryzykujemy pogorszenie.

– Podjadę pod sam namiot – rzuciła, nie odwracając od niego wzroku.

– Cała Georgie – roześmiał się profesor, prowokując kolejny napad kaszlu.

Andrew podał mu poduszkę, żeby unieruchomił bolące żebro. Kilka minut później, wystawiając głowę z namiotu, Andrew zobaczył, że przyczepa stoi tuż przed nim.

– Bierzmy się do roboty – ponaglała go Georgina. Pomogli profesorowi wejść do przyczepy, po czym zajęli się przygotowaniem go do podróży do Darwin. Georgina podała mu tlen, co w parę minut poprawiło mu nasycenie krwi, a Andrew furosemid. Ich uszu dobiegł warkot silnika.

– To Jim – powiedziała, przyklejając wenflon. Profesor nakrył dłonią jej rękę, po czym drugą zsunął z twarzy maskę tlenową.

– Wróć, zanim Andy wyjedzie – obiecał.

– Harry, o nas się nie martw – odrzekła z wyrzutem, z powrotem nakładając mu maskę. – Prawda, Andrew?

W jej głosie usłyszał ostrzegawczą nutę.

– Absolutnie. Najważniejsze, żebyś ty wyzdrowiał. W drzwiach ukazał się Jim.

– Profesorze, rydwan czeka.

Profesor ciężko wstał, opierając się o stół.

– Uważaj na siebie, dziecko. Nie daj się zbajerować temu przystojniakowi. Jesteś nam tu potrzebna.

Objął ją serdecznie, a ona o mało się nie rozplakała, czując, jak brakuje mu sił. Roześmiała się sztucznie.

– Jeden raz mi wystarczy.

– Andy – profesor przeniósł wzrok na Andrew – przepraszam, że zostawiam cię z tą robotą. Jesteś świetnym okulistą. Dobrze się zastanów nad swoją przyszłością. – Podał mu dłoń.

– To dla mnie zaszczyt, profesorze.

Ze ściśniętym gardłem szła tuż za profesorem, niosąc niewielki pojemnik z tlenem oraz worek z kroplówką. Podała je Jimowi i pomogła pacjentowi wsiąść.

– Do zobaczenia wkrótce – rzekł profesor.

Zatrząskując drzwi, miała przygnębiające przeczucie, że jego słowa się nie sprawdzą. Patrzyła za oddalającym się samochodem, mając wrażenie, że pożegnała najlepszego przyjaciela.

– Trzymasz się? – zapytał Andrew, obejmując ją. Nie. Bo umiera człowiek, którego darzę najwyższym szacunkiem. Mam ochotę krzyczeć, wyć i coś kopnąć. Jednocześnie przez ułamek sekundy zapragnęła przytulić się do Andrew i dać upust hamowanym łzom. Ale George Lewis nigdy nie płacze.

– Trzymam się, trzymam. Jedziemy. Nie będziemy tu stali do wieczora. Trzeba jeszcze przestawić przyczepę, bo pacjenci już czekają.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Myśli wszystkich, Georginy, Adrew oraz pacjentów od rana bieły ku profesorowi. Nikt nie mógł uwierzyć, że człowiek, który przez dwadzieścia lat z niespożytą energią kierował kliniką w przyczepie oraz programem walki ze ślepotą wśród aborygenów, po raz pierwszy okazał słabość.

Rano obejrżeli pacjentów operowanych poprzedniego dnia, informując ich, co im wolno, a czego nie, oraz o konieczności stosowania kropli przez najbliższe tygodnie. Przez cały czas Andrew napawał się radością ludzi, którzy nagle odzyskali wzrok.

W końcu przyszła kolej Dona. Starzec długo ścisnął mu dłoń, powtarzając w kółko:

– Dziękuję, doktorze, dziękuję. – Szeroko się uśmiechając, przez cały czas obracał głową, wskazując na przedmioty, które widzi.

– Nie ma za co – odparł równie uradowany Andrew.

– Drugim okiem zajmiemy się w przyszłym miesiącu.

– Patrzył, jak Don odchodzi dziarskim krokiem, nie przestając się rozglądać. Kark sobie skręci, pomyślał Andrew rozbawiony. Gdy się odwrócił, natknął się na Georginę, która również uśmiechała się szeroko.

– To twoja robota – powiedziała.

– O nie, to zasługa Profa. Gdyby nie on, ci ludzie nadal by nie widzieli.

Co się stanie z tym programem? – naszała go przerażająca myśl. Jaka czeka go przyszłość, gdy zabraknie profesora?

Pakując następnego poranka sprzęty kuchenne, ukradkiem obserwowała, jak Andrew składa namioty. Jim i Megan wyjechali już o świcie. Dzięki Bogu, nie musiała mu szczegółowo wyjaśniać, na czym polega zwijanie obozowiska, co więcej, bez szemrania wziął na siebie lwią część najcięższych robót.

Pogwizdywał jakąś melodię, a ona po chwili zdała sobie sprawę, że jest to przebój, którego słuchali w aucie, jadąc z ładowiska. Trudno jej było uwierzyć, że znają się dopiero cztery dni, cztery dni pełne wrażeń.

Andrew błyskawicznie przystosował się do nowych warunków. Wiele lat pracowała w buszu, ale nie przypominała sobie ani jednego przybysza z miasta, który z tak stoickim spokojem przyjąłby informację, że niespodziewanie musi sam sobie radzić.

Miastowi nie byli w stanie przyzwyczać się do wczesnego chodzenia spać, wstawania o świcie i warunków noclegowych dalekich od standardu luksusowego hotelu, nie wspominając o upale, pyle, muchach, egipskich ciemnościach i dzwoniącej w uszach ciszy. Tylko ten jeden okaz zachowuje się, jakby żył tu od dziecka.

Pochylał się miarowo, wyjmując kolejne namiotowe szpilki, ale jej stanął przed oczami przepasany ręcznikiem tego wieczoru, gdy zaskoczył ją w swoim namiocie. Westchnęła. Cholera, jest nim zafascynowana. Nie da się tego ukryć. Andrew jest

seksy i... kompetentny, a ona stale o nim myśli. Powinna zająć się szukaniem kogoś, kto zastąpi profesora, oraz zagwarantowaniem ciągłości funkcjonowania ambulatorium, gdy Andrew wróci do Sydney.

Nie zdoła go zatrzymać. On jest z miasta, ona z buszu. Oboje mają liczne zobowiązania. On ma Cory'ego i obiecującą prywatną praktykę, ona ma farmę, Profa, ambulatorium okulistyczne oraz osieroconego siostrzeńca, którego nie może zostawić. Najlepiej przyjąć strategię uników.

– Gotowe – sapnął Andrew, wrzucając z hukiem trzy namioty do przy czepki, a ona aż podskoczyła, pochłonięta obmyślaniami strategii. – Dokąd teraz jedziemy?

– Do wioski, która nazywa się Tulla. Jakies dwieście kilometrów stąd.

– Pomogę ci w pakowaniu – zaproponował, wycierając dłonie o dzinsy.

– Dzięki, ale już kończę. Jak chcesz być pożyteczny, to podczep przyczepę do wozu terenowego Profa.

Uśmiechnął się szeroko, aż zaparło jej dech.

Jechali przez pustkowie pod ciemniejącymi chmurami burzowymi. Dwie godziny później rozpakowywali się w Tulli, gdzie było gorąco i parno.

– Telefon do ciebie – zawołała Georgina, gdy Andrew pił wodę z manierki.

Podchodził do niej mocno zaniepokojony. Coś się stało Cory'emu? Nie, to niemożliwe.

– Nadciąga burza, więc mogą być zakłócenia – ostrzegła.

– Andrew, mówi ciotka Peggy.

– Co się stało?

– Nie chcę cię niepokoić, ale... dzisiaj rano zadzwonił Wendell. Chce się zobaczyć z Corym.

Po moim trupie, pomyślał Andrew. Łudził się, że z powodu złego odbioru nie wszystkie słowa ciotki do niego dotarły.

– Czego chce?

– Twierdzi, że ma do tego prawo. Przeklęty facet.

– Jeśli miał jakiegokolwiek prawa, to z nich zrezygnował, rzucając Ariel, zanim jeszcze Cory przyszedł na świat!

Nie chciał straszyć ciotki, ale nikt z rodziny nie znał całej historii. Przypomniał mu się wieczór, kiedy Ariel zapukała do jego drzwi.

– Co mówisz, Andrew? Nie usłyszałam.

– Nieważne. – Zastanawiał się, jak powstrzymać Wendella.

– Trochę mnie to zaniepokoiło – mówiła ciotka. – W jego głosie była agresja.

– Muszę się nad tym zastanowić. Zadzwonię do ciebie. Nic nie rób i siedź cicho.

Jak Cory?

– Bez zmian. Mam wrażenie, że mieszkam z cieniem. Nie je i nie chce chodzić do szkoły. On za tobą tęskni.

Ogarnęło go poczucie winy. Źle zrobił, wyjeżdżając.

– Niedługo do was zadzwonię. Nikomu nie otwieraj. Odłożył słuchawkę i

przeganiał włosy palcami. Jaki z niego opiekun? Cory zamknął się w sobie pół roku temu i od tej pory nic się nie zmienia, a on go opuścił. A teraz na domiar złego pojawił się ten drań, jego ojciec. Co robić? Chodził tam i z powrotem wzdłuż przyczepy, po raz pierwszy żałując wyjazdu do buszu. Decydując się na to, naiwnie sobie wyobrażał, że to tylko sześć tygodni oraz że zostawia chłopca w dobrych rękach. Musi wracać.

– Coś się stało? Cory? – usłyszał głos Georginy. Zatrzymał się w miejscu.

– Wendell postanowił pobawić się w kochającego tatusia. Jeśli on sobie wyobraża, że wróci po tym... – Kipiał z furii.

– Po czym?

– Po tym, co przez niego przeszła.

– Obawiam się, że prawo jest po jego stronie. – Za wszelką cenę starała się mówić jak najspokojniej.

Wiedział, że ona ma rację, co jeszcze bardziej go denerwowało. Dlaczego prawo chroni winnych kosztem niewinnych?! Od kiedy prawa rodzicielskie są ważniejsze od praw dziecka?!

– Nie. Wyrzekł się ich tego dnia, kiedy zepchnął Ariel w trzecim miesiącu ciąży ze schodów, krzycząc, że jest wariatką i że on nie chce takiego dziecka. Potem przepadł jak kamień w wodę. – Przysiadł na stopniu przyczepy, by ochłonać.

Georgina stała osłupiała z oburzenia. Nie знаła Wendella, ale gniew Andrew wydał jej się w pełni uzasadniony.

– Co zamierzasz zrobić?

– Zastanawiam się.

– Jak myślisz, dlaczego ujawnił się akurat teraz?

– Nie wiem – mruknął. – Nigdy dzieckiem się nie interesowałem. Myślę, że dowiedział się o śmierci Ariel i uznał, że mogą być z tego jakieś pieniądze. – Wendell unikał pracy jak ognia, twierdząc, że to źle wpływa na jego odczuwanie sztuki.

– Biedny Cory – westchnęła. Nie znała chłopca, ale pojęcia żałoby i straty były jej doskonale znane.

Andrew siedział na stopniu, bezwiednie gładząc bliznę.

– Żałuję, że mnie tam nie ma. Tutaj jestem bezsilny. Przeszło jej przez myśl, że gdyby coś stało się Charliemu, nic by jej nie powstrzymało. Cory potrzebuje wujka.

Wzięła głęboki wdech.

– Więc jedź.

Popatrzył na nią ze ściągniętymi brwiami.

– O czym ty mówisz?

– Musisz coś z tym zrobić, prawda?

– Nie mam w zwyczaju zrywać kontraktów oświadczył.

– Nie będziesz pierwszy. – Wzruszyła ramionami. – Mało który lekarz z miasta wytrwał tu sześć tygodni. Andrew, nikt nie będzie miał do ciebie pretensji. To są szczególne okoliczności. Zdecyduj, co jest dla ciebie priorytetem. I pamiętaj, że

Cory cię potrzebuje. – Przede wszystkim jak Andrew mógł chłopca zostawić w Sydney?

– Wiem o tym – mruknął urażony. – Ale nie opuszczę was ani nie zostawię wszystkich tych ludzi bez lekarza. Gdyby Prof był na miejscu, nie wahałbym się ani chwili.

– Poradzimy sobie.

– Oczywiście. Sama będziesz przeprowadzać zabiegi?

– Skontaktuję się z wydziałem zdrowia. Zapewniam cię, że sobie poradzimy. Zorganizuję zastępstwo. Nie zginiemy bez pana, doktorze Montgomery.

Pożałował swoich słów, bo nie miał zamiaru pomniejszać jej zasług. Z drugiej jednak strony pojął jej aluzję. Nie jest im potrzebny. Zrobiło mu się przykro, mimo że znał Georginę tak krótko.

Czuł się rozdarty. Musi być jakiś sposób pogodzenia zobowiązań wobec Cory'ego z jego pracą. Nie miał ochoty wyjeżdżać z buszu przed końcem praktyki. Przywracając wzrok tutejszym mieszkańcom, nagle ożył po latach odrętwienia i nie chciał, by to się skończyło. Spoglądając na Georginę, musiał przyznać w duchu, że chodzi tu nie tylko o satysfakcję płynącą z wykonywania zawodu. Ale jest jeszcze Cory...

– Przepraszam, nie chciałem. Spróbuję to połączyć.

– Rozwazał różne opcje. – Wykonam kilka telefonów i jakoś to załatwię. Na początek zarezerwuję im pokój w hotelu. Tam Wendell ich nie znajdzie. – Słuchała go bez przekonania. – Potem zorganizuję coś bardziej konkretnego do czasu, kiedy wrócę do domu. Jakies bezpieczne miejsce, do którego Wendell nie dotrze...

– Andrew, ty chyba żartujesz... – Jego chaotyczne plany wydały się jej absurdalne. Czy on zapomniał, że tu chodzi o małego chłopca. – Chcesz ciągać Cory'ego po hotelach? Nie sądzisz, że przeszedł już aż nadto?

– Spoglądał na nią speszony. – Dobrze wiesz, że nie będziesz spokojny, dopóki nie będzie z tobą. Jeżeli nie chcesz zrywać kontraktu, to weź krótki urlop i jedź do domu. Załatw wszystko osobiście i wróć tu, kiedy uznasz, że możesz.

Ona ma rację. Musi pojechać do Cory'ego, ale jest wątpliwe, by miał siłę znowu go zostawić z ciotką. Wiązałoby się to z zerwaniem kontraktu. Jednocześnie pogrzebałby w ten sposób swoją pozycję w programie oftalmologicznym. Oraz perspektywę lukratywnej pracy.

– Kurczę, spakuj go i przywieź do nas. Niech będzie tu z tobą do końca kontraktu. Tutaj Wendell go nie znajdzie.

Andrew szeroko otworzył oczy.

– Co takiego?

Wyskoczyła z tą propozycją bezmyślnie, ale po chwili doszła do wniosku, że nie jest to zły pomysł. Jeśli Andrew nie chce rozwiązać kontraktu, to wykonując zabiegi, będzie myślami przy Corym. Będzie zdekoncentrowany. Ale gdyby Cory z nim zamieszkał...

– Ściągnij go tutaj – powtórzyła.

Andrew stał osłupiały. Dawno nie słyszał czegoś tak absurdalnego.

– Oszalałaś? Roześmiała się.

– Przemyśl to sobie. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Tutaj Cory będzie bezpieczny. Od Wendella będą go dzieliły setki kilometrów. Nie będziesz musiał się o niego martwić, a jemu tu się bardzo spodoba. Ja się tu wychowywałam i wiem, że każdy dzień tu spędzony to cudowna przygoda.

– Nie. – Kręcił głową. Mimo to czuł, że jego podświadomość godzi się na takie rozwiązanie. – To bardzo nieprofesjonalne. Łamałoby wszelkie zasady. A co z jego nauką?

– Na tym polega urok prowincji. – Wzruszyła ramionami. – Tutaj można obejść kilka zasad, a gdybyśmy nieco zmodyfikowali nasz rozkład jazdy, za tydzień moglibyśmy przyjąć pacjentów w Byron, a to oznacza, że Cory mógłby przerabiać program Skrzydlatej Szkoły razem z Charliem.

Tak po prostu?

– Wątpię, żeby twój ojciec i brat byli zachwyceni stałą obecnością ponurego dziecka.

– Nie będą mieli nic przeciwko temu.

– Nawet ich o to nie pytałaś. – Czy ona naprawdę zwariowała?

– Tutaj tak się żyje, doktorze. Jak ktoś ma problem, wszyscy się mobilizują, żeby mu pomóc. Ja też mieszkam w Byron. I nikogo nie muszę prosić o pozwolenie, jeśli chcę zaprosić gości.

– Ale to dla Cory’ego obce otoczenie.

– Nie mniej obce niż tułaczka od hotelu do hotelu. Poza tym będziesz go miał przy sobie. Chyba zdajesz sobie sprawę, że tego trzeba mu najbardziej.

– Tak, oczywiście, ale on jest z miasta...

– Charlie wszystkiego go nauczy.

– Cory nie jest towarzyski. On jest... trudny. – Nie chciał, by jego siostrzeniec zaraził beztróskiego Charliego swoim ponuractwem.

– Wszyscy weźmiemy to pod uwagę, a Mabel będzie zachwycona. Uwielbia dzieci. Od razu weźmie go pod swoje skrzydła. Ona potrafi przekonać do siebie najsmutniejsze dzieci.

Mabel?

– Ona ma co najmniej siedemdziesiąt lat – zachnął się, na co Georgina wzruszyła ramionami.

– A nawet siedemdziesiąt jeden – uściśliła. – I w niczym jej to nie przeszkadza.

– Uważam, że obarczanie siedemdziesięcioletniej kobiety dzieckiem, które dopiero co straciło matkę, to wielka przesada.

– Chyba żartujesz?! To ją trzyma przy życiu. – Wyczuwając jego wahanie, drażnyła dalej. – Tak, wiem, wszyscy musimy delikatnie z nim się obchodzić, ale to tylko pięć tygodni. To jest bardzo dobre rozwiązanie, a ty wiesz o tym doskonale.

Westchnął. Ona ma rację. Źle zrobił, zostawiając synka Ariel nawet pod najczulszą opieką ciotki. Miejsce Cory’ego jest przy nim.

– Dobrze, zgadzam się, to jest najlepsze rozwiązanie – odparł. – Nie obiecuję, że obejdzie się bez zgrzytów... ale dzięki. Zaraz się zajmę jego podróżą. Zanim się rozmyślę.

– Daj mi namiary na ciotkę. Ja to załatwię, a ty idź do Megan i Jima i pomóż im wybrać pacjentów, którzy jutro będą operowani.

Patrzył na nią w zadumie. Tak się przyzwyczaiła do tego, że wszystko musi sama zorganizować, że nawet nie dostrzega, że robi więcej, niż do niej należy.

– Zawsze to tak wygląda? – zapytał. – Bierzesz coś na siebie, a ludzie nie protestują?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– To jest moja działka. Moim zadaniem jest organizowanie.

– Nawet wtedy, gdy ktoś jest w stanie sam to załatwić?

– Wiem z doświadczenia, że sama zrobię to szybciej i lepiej. Poza tym mam pewność, że jest zrobione jak należy.

– Nie przygniata cię ciężar odpowiedzialności za wszystko i wszystkich?

– Znam swoje możliwości. – Wzruszyła ramionami.

– Wiem, że dostałam tę pracę nie tylko dlatego, że jestem pielęgniarką, ale również dlatego, że sprawdziłam się jako organizator. Zdaję sobie sprawę, że dzięki mnie farma i ambulatorium funkcjonują bez zarzutów. Znam się na tym, na czym nie zna się tata, Jim ani Prof. Wiem, ile należy zamówić soczewek, gdzie zadzwonić, kiedy padnie generator, jak się robi listę płac oraz ile mąki zużywamy w porze suchej, a także, gdzie leżą łapki na myszy. Gdyby nie ja, nic by tu nie działało. Pokiwał głową.

– Ale ja sam sobie poradzę. Potrzebuję jedynie książki telefonicznej miasta Darwin.

– Masz szczęście, że wiem, gdzie leżą książki telefoniczne. – Zniknęła w przyczepie, po czym wyszła z książką. – Może ci się wydawać, że moja rola tutaj jest banalna, nie tak ważna jak mikrochirurgia, ale beze mnie nic byście tu nie zdziałali. – Chciała go wyminąć, ale ją zatrzymał.

– Nie to chciałem powiedzieć, a to, że dajesz się ludziom wykorzystywać, utrwalając ich bezradność. Co by się stało, gdybyś stąd wyjechała?

– Ja stąd nie wyjadę. Nigdy.

Załatwienie wszystkiego zajęło mu pół godziny. Tę noc ciotka i Cory spędzą w hotelu, a z samego rana polecą do Darwin, potem wynajętym samolotem na lądowisko położone pół godziny drogi od Tulli. Tam Andrew odbierze Cory'ego, a ciotka wróci z tym samym pilotem do Darwin i dalej do Sydney.

Był z siebie dumny, a przy okazji zauważył, że przestaje się martwić. Oczywiście, uspokoi się ostatecznie dopiero, gdy zobaczy Cory'ego. Przede wszystkim jednak cieszyło go, że nareszcie panuje nad sytuacją.

– Jak poszło? – zapytała Georgina, gdy stawił się w przyczepie.

– Cory będzie tu jutro po południu.

Rano zbadał kilkunastu pacjentów, w tym jedną osobę w podeszłym wieku, która dwadzieścia lat wcześniej straciła wzrok z powodu jaglicy. Nie posiadał się ze zdumienia, jak osoba tak upośledzona dzięki pomocy licznej rodziny potrafi być w buszu samodzielna. Przez cały czas starał się nie dostrzegać Georginy, ani nie słyszeć jej śmiechu. Zauważył jednak, że cały czas zajmuje się dziećmi. To spostrzeżenie nakazywało mu trzymać się od niej z daleka. W jego życiu nie ma miejsca dla kobiety.

Nim się obejrzał, trzeba było jechać po Cory'ego. Poczł ucisk w dołku. Czy w oczach siostrzeńca znowu zobaczy ten sam niemy wyrzut, jak wtedy, gdy wyjeżdżał? Miał cichą nadzieję, że jego decyzja o praktyce w buszu nie okaże się nieodwracalna w skutkach.

– Będzie dobrze – Georgina odezwała się, gdy milczenie w aucie stało się nie do zniesienia.

Dojechawszy do lądowiska, usiedli na masce samochodu i zaczęli wypatrywać samolotu. Najpierw go usłyszeli.

– Jest. – Wskazała czarną kropkę nad horyzontem. Andrew odetchnął z ulgą.

Kilkanaście minut później zsunął się z maski i czekał, aż ciotka pomoże Cory'emu wysiąść z samolotu. Chłopiec wydał mu się blade i wychudzony. Zawsze był niejadkiem, ale teraz miał podkrążone oczy i wyglądał jak starzec, a nie ośmioletnie dziecko. Andrew serce się ścisnęło. Jak mu pomóc?

Wylewnie przywitał ciotkę.

– Peggy, z całego serca dziękuję ci za to, że tu z nim przyleciałaś – szepnęła jej do ucha.

– Cory, nie przywitasz się z wujkiem? – zapytała starsza pani, spoglądając na chłopca, który stał obok ze wzrokiem wbitym w czerwoną ziemię.

– Cześć. – Nawet nie podniósł głowy.

– Cześć, stary. – Miał ochotę przytulić chłopca, gdyby nie to, że ten wyraźnie sobie tego nie życzył. A może mimo to przytulić? Nie chciał wywierać na niego presji. Od pół roku czekał, aż siostrzeniec nabierze do niego zaufania, zrozumie, że na wujku Andym może polegać.

Ograniczył się do pogłazenia chłopca po głowie. Georgina obserwowała tę scenę z przerażeniem. Pierwszy raz widziała dziecko tak samotne. Blade, chude i emocjonalnie okaleczone.

– Cory, poznaj Georginę – odezwał się Andrew.

– Cześć.

Przykucnęła przy chłopcu i mocno go objęła, głaszcząc go po włosach. Czowała, że mało któremu dziecku przytulanie jest tak potrzebne jak temu. Kilka sekund później poczuła, jak chłopiec się odpręża.

– Jestem George. – Wstała, by przywitać się z ciotką. – Chodź, Cory, do auta. Wujek przyniesie twoje rzeczy. – Uśmiechnęła się, mimo że chłopiec mierzył ją smutnym wzrokiem, i wyciągnęła do niego rękę, ale on nie przyjął tego gestu.

Niezrażona chwyciła jego dłoń i lekko pociągnęła w stronę samochodu.

Ciotka i Andrew odprowadzali ich wzrokiem.

– Może ta dziewczyna jest tym, czego mu trzeba – odezwała się ciotka z uznaniem w głosie.

– On potrzebuje matki.

– Albo wspaniałego substytutu.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W drodze do Tulli Andrew siedział z Corym z tyłu. Przez cały czas oboje z Georginą starali się zabawiać chłopca rozmową, ale ten odpowiadał monosylabami.

Gdy dotarli na miejsce, Andrew oprowadził siostrzeńca po obozowisku. Oczekiwał, że Cory się ożywi na wieść, że będzie nocował w namiocie, ale on tylko ponuro pokiwał głową. Wobec wszystkich był bardzo uprzejmy, tak jak nauczyła go matka, ale nie okazywał najmniejszego zainteresowania.

Dzieci z wioski zafascynowane białym chłopcem zaproponowały, by poszedł z nimi popływać, ale odmówił, a gdy Andrew namówił go na partię krykieta, ruszał się jak mucha w smole. Widać było po nim, że wolałby znaleźć się gdzie indziej.

– Mogę już odejść? – zapytał dwadzieścia minut później, a gdy Andrew przytaknął, powlókł się w stronę obozowiska.

Georgina obserwowała go z daleka. On dusi w sobie rozpacz i ból, pomyślała. Powinien dać temu upust.

Zauważyła, że przystanął przed grupką miejscowych, którzy siedzieli w cieniu drzew. Byli to członkowie kółka artystycznego. Rozmawiając i śmiejąc się, malowali.

– Hej, Cory – zagadnęła chłopca. – Chcesz się im z bliska przyjrzeć?

Pokręcił głową.

– Nie wierzę. – Bez wahania, jak poprzednio, wzięła go za rękę. – Archie i jego koledzy bardzo lubią publiczność.

Przedstawiła im Cory'ego, po czym usiadła na ziemi i pociągnęła go za sobą. Od razu zorientowała się, że chłopiec jest zafascynowany, że pilnie śledzi każdy ruch pędzla. Dostrzegła też iskierkę zainteresowania w jego oczach.

– Chcesz spróbować? – zwrócił się do niego Archie. Georgina była pewna, że chłopiec zaprzeczy, ale ku jej zaskoczeniu powiedział bardzo cicho:

– Tak.

Archie udzielił mu podstawowych wskazówek, po czym wręczył mu pędzel. Georgina patrzyła z zapartym tchem, jak Cory zamaszystymi ruchami kładzie jaskrawo-pomarańczową plamę. Spojrzał na nią, lekko się uśmiechając. W tej samej chwili poczuła, że Cory wyjdzie z depresji. Znalazł ujście dla swoich emocji.

Następnego ranka przy śniadaniu jak zwykle powiedział, że nie jest głodny. Andrew namawiał go, by zjadł cokolwiek, więc w końcu sięgnął po suchą grzanekę.

Georgina wyczuwała frustrację i rozpacz Andrew. Nałożyła łyżkę jajecznicy do miseczki i przysiadła przy chłopcu.

– Zjadaj – powiedziała. – Myślisz, że twoja mama chciałaby, żebyś nie jadł? – Usłyszała, jak Andrew bierze głęboki wdech, mimo to brnęła dalej. – Jeśli chcesz być malarzem jak mama, musisz jeść, żeby nakarmić swoją muzę. Wiesz, co to jest muza? – Cory pokręcił głową, a ona dotknęła jego klatki piersiowej. – Muza mieszka tutaj. Twoja mama też miała swoją muzę. Wiem od wujka Andrew, że pięknie

malowała, a wszyscy malarze mają swoje muzy. Zjadaj, a potem pójdziesz malować z Archiem.

Zadowolona z siebie przeniosła wzrok na Andrew, ale on wcale nie był zachwycony.

– Możemy porozmawiać? – zapytał, wstając i odchodząc w stronę przyczepy.

Zerknęła na Cory'ego, który właśnie przełknął kęs jajeczniczy;

– Tak trzymaj, Cory. Zaraz do ciebie wracam.

W myślach przygotowywała się do konfrontacji z Andrew. Tak, wtrąciła się w nie swoje sprawy, ale obserwując Andrew, uznała, że pomimo dobrych chęci nie ma on pojęcia, jak pomóc siostrzeńcowi.

– Przepraszam – zaczęła. – Wiem, że to nie moja sprawa.

– Zdecydowanie nie twoja – zachnął się. – Nie życzę sobie, żebyś mówiła o jego matce.

To ciekawe.

– Dlaczego?

– Dwa miesiące zajęło mi, żeby nie wybuchnąć płaczem na wzmiankę o niej.

– Ona umarła. Nic dziwnego, że płakał.

– Nie mogłem na to patrzeć. – Jego obowiązkiem jest opiekować się Corym, a nie doprowadzać go do łez.

– To naturalne. Normalne. Przegarnął palcami jasne włosy.

– Staram się go przez to przeprowadzić.

– Przeczając istnieniu Ariel?

– Jasne, że nie. Ale wątpię, żeby zachęcanie go do malowania pomogło mu zaakceptować tę stratę. To mu tylko przypomina nieżyjącą matkę. – Głos mu się łamał.

Nie powinna zapominać, że i on jest w żałobie. On też stracił Ariel. Siostrę bliźniaczkę.

Znowu bezwiednie gładził bliznę na brodzie, co uświadomiło Georginie, że już zdążyła uzależnić się od niego emocjonalnie. Widziała, jak bardzo martwi go niemożność nawiązania kontaktu z siostrzeńcem. Powinna trzymać się z boku, ale to nie w jej stylu, bo ona ma skłonność do mówienia, co myśli. Ta zasada obowiązuje w buszu.

– Ty źle to robisz.

Wiem, pomyślał, ale czy ona musi mówić mi to prosto w oczy?

– O, nie wiedziałem, że jesteś również psychologiem dziecięcym.

– Nie jestem psychologiem, ale pewnie znam się lepiej na ośmioletnich chłopcach oraz ich wychowywaniu.

Chyba ma rację.

– Przepraszam, zareagowałem zbyt gwałtownie. – Potarł oczy. – Ale staram się, jak umiem.

– Wiem. – Dotknęła jego ramienia. – Myślę, że jesteś za blisko, żeby zrozumieć jego potrzeby. Cory stracił matkę, tak, ale ty straciłeś siostrę. Tobie też jest trudno.

Nie miałeś kiedy opłakać Ariel, bo musiałeś zająć się Corym.

– Nic mi nie jest.

– Więc dlaczego nie potrafisz go przytulić?

To pytanie spadło na niego jak grom z jasnego nieba.

– Bo on nie chce. On tego nie lubi. Wzruszyła ramionami.

– On ma osiem lat i bardzo tego potrzebuje. I to lubi.

– Chcę, żeby nabrał dystansu.

– Naprawdę? A może nie masz siły go przytulić? Może krępuje cię jego bliskość, bo przypomina ci Ariel? Ukochaną siostrę, za którą tęsknisz tak samo mocno jak Cory?

Chciał zaprotestować, ale zabrakło mu słów. Może ona ma rację? Przysiadł na stopniu przyczepy. Czy to znaczy, że narzuca dystans, żeby chronić siebie?

– Tak, on mi przypomina Ariel. Bardzo – odparł.

– Mogę się założyć, że przypominasz mu matkę. Domyślam się, że byliście bardzo do siebie podobni.

Przytaknąwszy, sięgnął po portfel, z którego wyjął niewielką fotografię. Cory z matką. Andrew i Ariel byli do siebie podobni jak dwie krople wody.

– Nic dziwnego – mruknęła.

– Słucham?

– Wcale się nie dziwię, że Cory odtrąca twoje gesty pocieszenia. Jesteś kopią jego matki. On próbuje się bronić.

– Przed czym? Dlaczego?

– Przed utratą kopii matki.

Skomplikowana sytuacja nagle wydała mu się bardzo prosta. Czy to możliwe, że Georgina ma rację? Jeśli tak, to wszystko zepsuł, robiąc to, czego Cory się obawia... bo go opuścił.

– Jak mam to naprawić?

W pierwszym odruchu pomyślała, że powinna się wycofać, bo wystarczy jej własny emocjonalny bagaż. Andrew i jego siostrzeniec wyjadą za pięć tygodni, więc po co się angażować. Ale czy może odwrócić się od chłopca takiego jak Charlie? Osierocony instynkt macierzyński podpowiadał jej, że powinna wujowi oraz siostrzeńcowi pomóc się odnaleźć. Ten sam instynkt pomógł jej ratować Charliego. Teraz przyszła kolej na drugiego małego chłopca.

– Nie wiem, Andrew – westchnęła. – Ale na pewno nie unikając pewnych tematów, udając, że Ariel nie istniała, tłumiąc jego malarskie zapędy. On jest dzieckiem pogrążonym w cierpieniu i potrzebuje dużo wsparcia, a malowanie może mu bardzo pomóc. To, co namalował wczoraj, jest bardzo dobre.

– Bardzo ponure. – Nadal miał przed oczami czarne serce na tle w kolorze ochry.

– Andrew, on tak czuje. Nie możemy zabronić mu malowania. Powinniśmy go do tego zachęcać. I musisz go przytulać. Jak najczęściej.

– A jak on tego nie chce?

– Przytulaj go jeszcze częściej. Oswoi się z tym i niedługo ci się odwzajemni.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Obiecujesz? – Uśmiechnął się bez przekonania.

– Przysięgam.

Być może ciotka Peggy miała rację tylko połowicznie. Być może Georgina i jemu jest potrzebna?

Następnego dnia po dyżurze Andrew znowu grał w krykieta, Cory malował usadowiony pośród miejscowych artystów, a Georgina przysiadła w cieniu obok Jima tak, by obserwować grę oraz chłopca. W pewnej chwili podeszło do niej małe dziecko i wręczyło jej banana.

– To dla mnie? – zapytała z uśmiechem. Dziecko pokręciło głową, nie spuszczać wzroku z banana.

– Aha, mam go obrać?

Malec rozpromienił się i przytaknął, a ona po raz tysięczny zastanawiała się, jak wyglądałoby jej utracone dziecko. Czy miałoby jasną karnację jak ona, czy ciemniejszą jak Joel. Jakiego koloru miałoby oczy?

Podala obranego banana uradowanemu maluchowi, który odmaszerował różnym krokiem.

– George, popatrz na tego chłopaka. – Głos Jima wyrwał ją zadumy. – Tego chudego. Ma czternaście lat, ale kapitalny z niego zawodnik.

Nie bardzo znała się na krykiecie, ale potrafiła docenić siłę, z jaką chłopak uderzył w piłkę. Zagwizdała przez zęby.

– Niezły.

– Zapytam Andy'ego, czy nie zna w Sydney jakiegoś selekcyjona, który zechciałby tu przyjechać. Pod okiem dobrego trenera ten młody ma szansę wejść do naszej reprezentacji narodowej.

Gdy kolejna piłka ze świstem przecięła powietrze, jeden z zawodników aż przykucnął, aby uniknąć uderzenia.

– Nie sądzisz, że oni powinni grać przynajmniej w czapkach? – zaniepokoiła się.

– Powinni, ale spróbuj ich do tego przekonać.

Andrew, który znajdował się w polu zewnętrznym, pomyślał o tym samym. Nawet chciał podbiec do przyszłej gwiazdy australijskiego krykieta, by mu zasugerować nieco lżejsze uderzenia, ale piłka przeszła już do kogoś innego, więc odetchnął z ulgą. Chłopak był niesamowity.

– Doktorze, niech pan patrzy – odezwał się stojący obok chłopiec. – Teraz Bobby pokaże Dazzie, co potrafi.

Tak to się zaczęło. Bobby opanował posługiwanie się kijem do perfekcji, za to Dazza okazał się mistrzem w rzucaniu piłką. Chłopcy rywalizowali ze sobą, ale było oczywiste, że również się przyjaźnią.

Niestety, mijała właśnie dwudziesta minuta pokazowej partii krykieta, kiedy Bobby nie trafił kijem w piłkę. Andrew z przerażeniem ujrzał, jak rozpędzona piłka

uderza w lewe oko chłopca. Bobby z krzykiem padł na ziemię.

Andrew znalazł się przy nim w okamgnieniu, sekundę później przybiegli Georgina i Jim.

Andrew posadził Bobby'ego.

– Muszę obejrzeć twoje oko – oznajmił, odrywając jego dłoń od twarzy.

– Przepraszam, Bobby, przepraszam – lamentował Dazza. – Bobby, ja nie chciałem...

– Dazza, uspokój się – ofuknął go Jim, odciągając go od kolegi. – Odsuńcie się, nie przeszkadzajcie doktorowi. – Przykleknął obok Andrew.

– Paskudnie to wygląda.

Oko natychmiast spuchło, a dokoła niego zakwitał fioletowo-czerwony siniak. Andrew delikatnie obmacywał okolice oka.

– Obawiam się, że ma pęknięty oczodół oraz kość policzkową. Nie zdziwiłbym się, gdyby doszło do uszkodzenia gałki ocznej.

– Wyobrażam sobie tego krwiaka – rzekła Georgina. Tylko jeden z tych urazów może stać się przyczyną utraty wzroku, a co dopiero trzy naraz. Oznaczałoby to definitywny koniec sportowej kariery Bobby'ego.

– Trzeba go jak najprędzej przetransportować do Darwin – zawyrokował Andrew.

– Wezwę śmigłowiec.

– Dobrze. A ty, Jim, pomóż mi go przenieść w cień. Posadzili go na krzeselku, na którym wcześniej siedziała Georgina. Jim ruszył po opatrunki, a Andrew zajął się pocieszaniem niefortunnego zawodnika. Chłopiec powoli przestawał płakać, podczas gdy Andrew rozważał w myślach najbardziej pesymistyczne scenariusze. Zerknął w stronę Cory'ego, ale z ulgą się zorientował, że członkowie grupy artystycznej skutecznie odwrócili uwagę chłopca od wypadku.

– Samolot przyleci za godzinę – usłyszał lekko zadyszany głos Georginy.

– Na pas w Bongabie?

Przytaknęła. Jim wrócił z opatrunkami, więc wraz z Andrew zabrała się do ich zakładania.

– Doktorze – odezwał się Dazza, który wytrwale towarzyszył koledze. – To oko jest zdrowe.

– Wiem, ale musimy zakleić oba.

– Dlaczego?

– Dlatego że co robi jedno, robi też drugie. Jak lewym okiem popatrzysz w lewo, to jak zachowuje się prawe? – zapytał Andrew, z uśmiechem obserwując, jak Dazza sprawdza jego prawdomówność.

– Też patrzy w lewo.

– No widzisz. Więc jeżeli zakryjemy zdrowe oko, żeby nie musiało patrzeć, to to chore też przestanie się ruszać, co mogłoby mu dodatkowo zaszkodzić.

Dazza ze zrozumieniem kiwał głową.

– Okej, ruszamy w drogę – oznajmił Andrew. – Będziemy jechać wolno i ostrożnie, więc sporo nam to zajmie. Jim, podjedź tutaj.

Jim posłusznie ruszył po samochód, wprawiając tym Georginę w zdumienie. Kiedy to się stało? To przecież ona była od zażegnywania kryzysów, ona wydawała polecenia, ona trzeźwo myślała, kiedy inni miotali się jak nieprzytomni. Przyjęła tę zmianę ze zdziwieniem, ale i z pewną ulgą. Przyjemnie jest czasami podzielić się odpowiedzialnością.

Samochód zaparkował tuż przy krzeselku Bobby'ego, chodziło bowiem o to, by zaoszczędzić mu wysiłku, co podwyższyłoby ciśnienie wśródgalkowe. W związku z tym Jim i Andrew ostrożnie wnieśli go do środka i posadzili na tylnym siedzeniu.

– Poprowadzę – odezwał się Andrew.

– Nie. – Georgina już sadowiła się za kierownicą. – Znam te drogi lepiej od ciebie.

Nie protestował.

– Okej, ale uważaj na wyboje.

Gdy wyjeżdżała z obozowiska, Andrew opuścił szybę.

– Cory! – zawołał. Wszyscy malarze spojrzeli w jego stronę. – Jedziemy na spotkanie z latającym doktorem w Bongabie. Chcesz z nami pojechać?

Chłopiec energicznie pokręcił głową.

– Niech zostanie z nami, doktorze. Zaopiekujemy się nim – obiecał Archie.

Andrew zawahał się, ale widząc szeroki uśmiech na twarzy Cory'ego adresowany do siwowłosego artysty, zrozumiał, że nie skusi chłopca przejażdżką. Na taki uśmiech czekał pół roku... Był zaskoczony, jak bardzo go to zabolalo. Dlaczego on nie potrafi wywołać takiego uśmiechu? Czy to ważne? To dobry znak i powinien się z tego cieszyć.

– Cory, zostaniesz?

Spojrzawszy na wuja, Cory spochmurniał, ale dalej z przekonaniem kiwał głową.

– Do zobaczenia, Cory.

– Cześć – odrzekł chłopiec, wracając do malowania.

Zamiast pół godziny, jechali pięćdziesiąt minut. Dazza poprosił, by go wzięli ze sobą, na co Andrew przystał, licząc, że towarzystwo kolegi odwróci uwagę Bobby'ego od bólu. Ten krok okazał się słuszny.

Gawędzili przez całą drogę. Początkowo Andrew obawiał się wstrząśnienia mózgu, ale cięte riposty Bobby'ego upewniły go, że nic takiego nie wystąpiło. Ta nieustająca wymiana zdań odciągnęła też jego myśli od uśmiechu siostrzeńca, uśmiechu nie przeznaczonego dla niego.

– Jesteśmy już blisko – zameldowała nagle Georgina. Miała wielką ochotę przyspieszyć, ale się powstrzymała.

Dziesięć minut później zaparkowali nieopodal lądowiska, a wkrótce potem usłyszeli warkot samolotu. Wyskoczyła z niego lekarka, Helen Young, oraz pielęgniarz Carl.

– Oj, paskudnie – mruknęła Helen, zaglądając pod opatrunek.

Andrew już miał wyjaśnić jej, co się stało, ale jego uwagę odciągnęło

entuzjastyczne powitanie, jakie Carl zgotował Georginie. Kątem oka dostrzegł, że pielęgniarz wyjątkowo długo nie wypuszcza jej z ramion.

Georginę znali tutaj wszyscy mężczyźni, i wszyscy uważali, że mają prawo bezczelnie ją obejmować i całować. To nie w porządku, bo on robi to jedynie w wyobraźni.

Im dłużej przebywał w jej towarzystwie, tym bardziej ci faceci go wkurzali. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. Przecież nie warto chcieć czegoś, z czego nic nie wyniknie.

– Podejrzewasz pęknięcie gałki ocznej? – zapytała Helen.

– W tej chwili trudno to sprawdzić.

W kilka minut zainstalowali Bobby'ego na pokładzie samolotu. Helen podłączyła kroplówkę, a Carl monitor. Na szczęście Carl im asystował. Niestety znowu usłyszał śmiech Georginy. Gdy wyjrzał z samolotu, zobaczył, jak całuje ją tym razem pilot! Czy ta dziewczyna zna wszystkich mężczyzn w środkowej Australii?!

Niedługo potem samolot wzbił się w powietrze.

– Bobby będzie ślepy, prawda? – zapytał Dazza łamiącym się głosem, gdy wszyscy troje wpatrywali się w malejący czarny punkt.

– Nie wiadomo, Dazza – odezwała się Georgina. – To się okaże dopiero za jakiś czas.

– Co się dzieje, jak pięknie gałka oczna? Andrew i Georgina wymienili spojrzenia.

– Wypływa z niej taka galaretka – powiedział Andrew.

– Czy to można naprawić?

– Jest kilka sposobów. To zależy od stopnia uszkodzenia.

Dazza zamyślił się.

– A na czym polega krwihak?

– To jest wylew krwi do przedniej części oka.

Dazza ponuro kiwał głową.

– To wszystko brzmi bardzo niedobrze – stwierdził. Andrew ponownie spojrzał na Georginę.

– Masz rację. Jedno i drugie może uszkodzić wzrok. Na razie nie pozostaje nam nic innego, jak czekać.

Georgina otoczyła chłopca ramieniem.

– Wracajmy do Tulli.

Dazza niechętnie wdrapał się na tylne siedzenie, Andrew usiadł z przodu. Kierując, Georgina raz po raz nerwowo spoglądała na chłopca we wstecznym lusterku.

– Mam wrażenie, że wszyscy cię tu znają – odezwał się półgłosem Andrew.

– Mhm? – Niepokoił ją stan ducha Dazzy.

– Najpierw Carl, a potem pilot... Rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Rodzice Carla mają farmę, która sąsiaduje z naszą. Razem się wychowywaliśmy. Carl to kumpel z piaskownicy, a Alec od niepamiętnych czasów lata w powietrznych karetkach. Przyjaźni się z Bomberem. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie. – Czuł, że zachowuje się irracjonalnie, ale nie mógł się opanować.

Znalazł się praktycznie na pustyni, kocha to, co tu robi, towarzyszy mu zamknięty w sobie ośmiolatek oraz kobieta, którą ściskają i całują wszyscy faceci poniżej setki, ale nie on. Ta sytuacja wyprowadza go z równowagi.

– Tutaj się wychowywałam – powtórzyła. – Wszyscy się tu znamy. Doktorze, tak wygląda życie na prowincji.

Nie pojmowała, dlaczego tak się spina, kiedy Andrew opowiada bzdury. Czuła, że jest na nią wściekły, ale nie wiedziała dlaczego. Nic złego nie zrobiła, a jego aluzja jest oburzająca. Przed bramą energicznie nacisnęła pedał hamulca.

– Georgina!

– Kurde, Andrew, mam na imię George! Spiorunował ją wzrokiem, po czym wyskoczył z auta, trzaskając za sobą drzwiami.

– Co mu się stało? – zaniepokoił się Dazza.

– Nie wiem, Dazza, nie mam pojęcia.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dwa tygodnie później szykowali się do przeprowadzki na farmę Byron. Dzięki staraniom Georginy organ założycielski ambulatorium użyczył im mikrobusu do przewozu pacjentów z odległych wiosek do Byron i z powrotem. Udało się także ułożyć nowy plan działania na najbliższe trzy tygodnie.

Cory zdawał się nie mieć nic przeciwko ciągłej wędrówce po buszu. Od jego przyjazdu rozbijali obozowisko w siedmiu różnych miejscach, ale on przyjmował to potulnie, dbając jedynie o swoje farby i pędzle.

Obserwując chłopca, Georgina dostrzegała stopniową poprawę, ale nadal wyczuwała niepokój Andrew. Cory już nie wykręcał się od jedzenia, ciemne kręgi pod jego oczami powoli zniknęły, a od czasu do czasu na jego twarzy pojawiał się uśmiech. Niemniej taka włóczęga nie służy żadnemu dziecku.

Na farmie będzie chłopcu jak w raju. Przede wszystkim Mabel weźmie sobie za punkt honoru go podtuczyć. Na dodatek nareszcie będzie mógł nawiązać kontakt z rówieśnikiem, bo mimo że jest dzieckiem nad wiek poważnym, dorośli nie są dla niego najlepszym towarzyszem.

Bardzo liczyła na Charliego, przeczuwając, że chłopcy się zaprzyjaźnią. Tym bardziej że pomimo różnicy temperamentu jedno na pewno ich łączy: utrata matki.

Za jej namową Andrew starał się o jak najczęstszy kontakt fizyczny. Było mu wyraźnie przykro, gdy chłopiec sztywniał w jego objęciach, ale chyba zdawał sobie sprawę, że jeśli chce coś osiągnąć, czeka go żmudna praca.

– Cierpliwości, daj mu trochę czasu – powiedziała, gdy poprzedniego dnia Cory z bezlitosną obojętnością dał mu się przytulić, by po chwili katagorycznym ruchem oswobodzić się z uścisku.

Położyła Andrew rękę na ramieniu, a on spojrzał na nią tak, że zakręciło się jej w głowie. Już wcześniej postanowiła, że musi zachować dystans. Ale jak wprowadzić to w czyn, skoro ten facet ją fascynuje? Jako osoba z gruntu bezpośrednia nie potrafiła niczego udawać. Jeśli kogoś lubiła, to to okazywała, jeśli ktoś ją denerwował, też od razu dawała mu to do zrozumienia.

Budząc się, każdego ranka powtarzała sobie, że nie będzie się angażować, ale już przy śniadaniu Andrew mówił coś zabawnego albo wychodził z namiotu w niedopiętej koszuli od piżamy. Kiedy indziej do łez wzruszały ją jego starania, by dotrzeć do Cory'ego. Jednym słowem, rozbijał ją niemal na każdym kroku.

Z każdym dniem coraz bardziej oswajał się z nowym środowiskiem i wyraźnie coraz więcej serca wkładał w to, co robi, mimo że na początku jego jedynym celem było zaliczenie praktyki. A gdyby tu został?

Mijając ją, powitał ją szerokim uśmiechem. Laska boska, że miał okulary przeciwsłoneczne, bo inaczej wydałoby się, że pożera ją wzrokiem. Wracała właśnie spod prysznic, odziana jedynie w duży ręcznik.

Ruszył prosto do swojego namiotu, padł na materac, nakrył głowę poduszką i

zawył.

– Coś się stało?

Odrzuciwszy poduszkę, w wejściu do namiotu ujrzał rozbawioną twarz Jima. Westchnął.

– Nie, nic się nie stało. Ćwiczę płuca. – Grzmotnął się pięścią w klatkę piersiową. Jim się roześmiał.

– Okej, można to i tak nazwać. – Wyjął coś z torby, po czym się wyprostował. – Zgłoś się do mnie, jak zechcesz pogadać o George – rzucił na odchodnym.

Andrew podłożył poduszkę pod głowę i zapatrzył się w niebieskie płótno namiotu. Po co mu to? Mało ma zmartwień z powodu Cory'ego? Nic z tego nie będzie. Wyjeżdża za parę tygodni, a Georgina nie jest kobietą, którą można pokochać i porzucić. Nie jest typem kobiety z wielkiego miasta, którą zadowoli kilka spotkań i trochę seksu. Ten typ nie chce nawet słyszeć o osieroconych siostrzeńcach.

Zdarzało się, że w jej oczach dostrzegał nieufność. Kilku tubylców napomknęło o człowieku imieniem Joel. Czy to spojrzenie miało z nim coś wspólnego?

Trzy tygodnie. Trzy tygodnie wdychania jej intrygującego zapachu, obserwowania, jak obłaskawia Cory'ego. Trzy tygodnie erotycznych snów oraz poranków, kiedy obiecuje sobie wziąć się w garść i zachowywać jak osobnik dorosły, a nie napalony nastolatek. Mimo to w jej obecności nie ma żadnego wpływu na swoje hormony.

W Byron nie będzie zmuszony oglądać jej w mokrym ręczniku ani dotykać jej nagiego ramienia podczas przygotowywania posiłków. Nie będzie też wspólnego popijania kawy. Ach, jaką ona robi pyszną kawę. Miastowe *latte* się do niej nie umywa.

Jęknął cicho. To jest mu zupełnie niepotrzebne, absolutnie. Ma dosyć życiowych komplikacji. Nie życzy sobie takich emocji. Tak, ten pobyt w buszu dobrze mu robi, Cory'emu również, ale gdyby wiedział, że wynikną z tego nowe komplikacje, zrobiłby wszystko, żeby od tej praktyki się wymigać.

Nagle dotarło do niego, że przestał pracować generator. Niespodziewana cisza pchnęła jego myśli na inne tory. Zanim tu przyjechał, nie zdawał sobie sprawy, że wielu mieszkańców buszu jest pozbawionych tak podstawowej zdobyczy cywilizacji, jak energia elektryczna. To nie jedyne odkrycie, jakiego tu dokonał.

Po pierwsze, nie wiedział, jak piękna jest środkowa Australia, ponieważ urlopy spędzał w bardziej egzotycznych miejscach. Zwłaszcza tych, do których nie trzeba było podróżować samolotem.

Po drugie, nie sądził, że tak bardzo można pokochać pracę. Wędrowne ambulatorium profesora Jamesa okazało się rewelacyjną placówką dydaktyczną. Dzięki niemu zetknął się z wieloma schorzeniami, które nie występują wśród populacji miejskiej, co jeszcze dobitniej uświadomiło mu przepaść dzielącą obydwa światy. Z każdym dniem umacniał się w przekonaniu, że Cory nie może dorastać w tak prymitywnych warunkach.

Ziewnął sennie. Od trzech tygodni wstaje bladym świtem, ale bardziej od

ciągłych przenosin wyczerpująca jest nieustanna emocjonalna czujność związana z Corym oraz Georginą. W Byron będzie lepiej. Miał nadzieję, że łatwiej będzie tam unikać spotkań z tą kobietą.

Wstał i wyszedł na zewnątrz. Wziął kilka głębokich oddechów. Na miły Bóg, jesteś lekarzem! Jak możesz nie panować nad swoim ciałem?!

W tej samej chwili z namiotu wyszła Georgina odziana w sarong i T-shirta. Podeszła do Megan i Jima, po czym roześmiała się, rozbawiona jakąś uwagą Megan.

Czy ona w tym spała? Czy w bieliźnie? A może nago? Rzucił Jimowi żalosne spojrzenie i dał nura z powrotem do namiotu.

Rozmawiając z Megan, dostrzegła pod drzewem Cory'ego.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć.

Chłopiec nie podniósł wzroku znad płótna. Na czarnym tle w rogu obrazu malował widmową postać w długiej białej szacie, z rozwianymi włosami.

Georgina nie zapytała, kto to jest, ale go pochwaliła i zachęciła do dalszego malowania. Trzeba mu pozwolić przenieść na płótno cały smutek i żal. Andrew też nie domagał się wyjaśnień, chociaż wyraźnie niepokoiła go wymowa prac Cory'ego.

Może już pora poruszyć ten temat?

– Kto to jest? – zapytała od niechcienia.

– Nikt. – Cory wzruszył ramionami.

Pokiwała głową i przysiadła obok, w nadziei że chłopiec stanie się bardziej rozmowny. Przyjrzał się jej badawczo, aż wstrzymała oddech.

– Masz rude włosy – stwierdził.

– Tak. – Skrzywiła się. – W mojej rodzinie są sami rudzielcy.

Cory popatrzył na obraz.

– Moja mama była blondynką.

– Twoja mama była piękna.

Przeniósł wzrok na nią.

– Ty też jesteś piękna.

Tym razem przyjęła ten komplement bez szemrania.

– Dziękuję. – Dzięki Bogu ośmioletni chłopcy nie zwracają uwagi na szerokie biodra.

Cory zacisnął pięści.

– Moja mama umarła. Powoli pokiwała głową.

– Wiem, Cory. Mnie też jest z tego powodu bardzo, bardzo przykro. Moja mama też umarła.

– Naprawdę? – Wyraźnie się ożywił.

– Naprawdę.

– Dawno?

– Sześć lat temu.

- Ale ty zawsze jesteś uśmiechnięta.
- Był taki czas, kiedy się nie uśmiechałam. Bardzo długo byłam smutna.
- Ja też bardzo długo będę smutny.
- Masz prawo być smutny. Tak długo, jak to będzie konieczne.

Przez chwilę wpatrywał się w jej oczy, po czym pochylił się nad płótnem i wrócił do malowania.

Andrew stał przed namiotem i ich obserwował. Zazdrościł Georginie łatwości, z jaką nawiązywała kontakt z jego siostrzeńcem. Prawdę mówiąc, ze wszystkimi dziećmi we wszystkich wioskach. Czy tylko kobiety mają ten dar?

– O czym rozmawialiście? – zapytał kilka minut później, a ona dostrzegła w jego oczach niepokój.

- O smutku.
- O smutku? – O Boże, czy to dobrze, czy źle?

– Cory powiedział mi, że Ariel miała jasne włosy i umarła. Andrew, myślę, że on powoli zaczyna się otwierać.

Czy to możliwe? Poczul się wniebowzięty, aż zaszumiało mu w głowie. O mały włos z radości by ją pocałował.

- Miejmy nadzieję.
- Andrew, zaczynasz wygrywać.
- Dzięki tobie.

Energicznie zaprzeczyła. Po prostu zrobiła to, co robi zawsze, to, co potrafi najlepiej: rozwiązywać problemy.

Dwie godziny później rozmawiał z pacjentem, gdy poczuł, że ktoś ciągnie go za koszulę.

– Cory! – Ucieszył się i przykucnął, by go przytulić. Od jakiegoś czasu chłopiec już nie reagował jak robot, ale znosił przytulanie z miną męczennika, co było równie frustrujące. Tym razem Andrew przytrzymał go nieco dłużej. Jak dawniej, kiedy żyła Ariel. – Koniec na dziś z malowaniem?

Cory przytaknął.

– Namalowałem to dla ciebie – odezwał się poważnym tonem.

Andrew poczuł, jak wali mu serce.

– Naprawdę? Strasznie się cieszę. Mogę zobaczyć?

– Trochę mi nie wyszło. To wielki krok naprzód.

– Twoja mama też tak mówiła. Wszyscy artyści bardzo krytycznie oceniają swoje dzieła. Ale twoja mama była wybitnie utalentowana i jestem przekonany, że to po niej odziedziczyłeś. – Wpatrywał się w siostrzeńca, niepewny jego reakcji, ale twarz chłopca nagle się rozpromieniła.

– Naprawdę?

Andrew poczuł, że czarne chmury się rozwiewają, a zza nich wygląda słońce. Jeszcze raz uściskał chłopca.

– Naprawdę.

Cory uroczystym gestem wręczył mu swoje dzieło.

Andrew osłupiały wpatrywał się w wielki niemal na całe płótno portret Georginy. Uśmiechała się do niego. Miała piękne rude pukle opadające na ramiona, różowe wargi, setki piegów. Mały artysta genialnie oddał prawdziwy kolor jej oczu. A co najważniejsze, uchwycił jej osobowość. Prawdziwe dzieło sztuki.

– To George – wyjaśnił Cory.

– Widzę... Cory, niesamowity obraz... Masz wielki talent. – Andrew nie mógł oderwać wzroku od obrazu. Na domiar wszystkiego Cory umieścił Georginę na żółtym słonecznym tle. Nie czarnym, nie brunatnym, nie szarym. I nie fruwała tam widmowa Ariel. To był radosny obraz.

Gdy popatrzył na Cory'ego, okazało się, że chłopiec uśmiecha się szeroko. Andrew poczuł, jak serce mu rośnie, rozsadzane miłością i dumą.

– Co oglądacie? – zainteresowała się Georgina.

– Cory namalował arcydzieło.

– Mogę zobaczyć? – Jej uwadze nie umknęła radość na obu twarzach.

Andrew rzucił chłopcu pytające spojrzenie, a ten pokiwał głową.

Nie spodziewając się tak dużego portretu, aż zamrużyła zaskoczona. Nie kryła, że nie posiada się z radości.

– Fantastyczny! – zawołała, po czym pocałowała małego artystę w policzek.

– Naprawdę?

– Oczywiście!

– Muszę umyć pędzle, żeby nie zaschły – oznajmił nagle Cory i oddalił się w podskokach.

– Gzy to nie cud? – zapytał cicho Andrew, gdy za nim patrzyli. To zasługa Georginy, pomyślał, przenosząc na nią wzrok pełen wdzięczności.

Coraz trudniej przychodziło mu wyobrazić sobie powrót do Sydney, ale ten dzień mu pokazał, że na pewno znajdzie drogę porozumienia z Corym. I na tym powinien się skoncentrować. Z Corym w Sydney. Tysiące kilometrów stąd.

Obudził się nagle z obrazem Georginy przed oczami. Czuł w lędźwiach znajomy płomień, ale nie próbował zatrzymać erotycznego nastroju snu. Spał marnie, nękany myślami o postępkach Cory'ego oraz o Georginie.

Usiadł. Chłopiec spał spokojnie metr obok, odwrócony do niego plecami. Spojrzał na zegarek: piąta trzydzieści.

Żeby jak najszybciej ochłonać, pospiesznie naciągnął spodnie oraz koszulkę, wyszedł przed namiot i odetchnął pełną piersią. Nareszcie udało mu się wstać przed wszystkimi, a Cory będzie spał nawet do siódmej. Musi coś zrobić, by rozładować frustrację, bo męczy go przeświadczenie, że w jego życiu nie ma miejsca dla Cory'ego oraz Georginy. Ona jest zżyta z buszem, oni z wielkim miastem. Jak by nie główkował, widział tylko jedno rozwiązanie.

Rozejrzał się, po czym ruszył ścieżką, na której poprzedniego dnia Georgina zniknęła mu z oczu. Szedł wśród drzew do wtóru odgłosów owadów i ptaków.

Oddychał głęboko porannym powietrzem, czując, jak z każdą minutą maleje napięcie, które odczuwał wcześniej.

Po jakimś czasie usłyszał szum wody. Zorientował się wtedy, że zbliża się do strumienia, tym bardziej że w jakiejś odległości przed sobą zobaczył, że ścieżka wspina się na skały. Czas i woda wyłobily w twardym kamieniu rozległe głębokie niecki, które podczas pory deszczowej napełniały się wodą. W tej chwili woda kaskadami spływała z jednej niecki do drugiej.

Wspiął się na najwyższą skałę i usiadł na ziemi, by napawać się spokojem tego niebiańskiego zakątka. Poczł, że nabiera dystansu do swoich problemów. Te skały zapewne przetrwały miliony lat i na pewno przetrwają kolejny milion. Czymże więc są jego zmartwienia wobec potęgi tego miejsca?

Jego uszu doszły jakieś odgłosy. Rozejrzał się, by zobaczyć, co wtargnęło do jego samotni. O nie! W niecce poniżej pływała Georgina. Ta sama Georgina, o której śnił każdej nocy, która pomogła mu nawiązać kontakt z siostrzeńcem. Leżała na wznak i, zamknawszy oczy, śpiewała. Rozpoznał jej ulubiony przebój i uśmiechnął się do siebie. Była w czarnym bikini albo w bieliźnie, która zakrywała, jego zdaniem, zdecydowanie za duzo.

Obserwował ją przez dobrych kilka minut. Nagle się otrząsnął: podglądactwo to dewiacja. Andrew Montgomery, natychmiast stąd odejdz. Zerwał się na nogi tak energicznie, że pośliznął się na kamyku. Upadając, szpetnie zaklął.

Usłyszawszy hałas, Georgina odwróciła się na brzuch.

– Kto tu jest? – zawołała. Powoli podnosił się z ziemi.

– To ja. To tylko ja. – Człł się jak zboczeniec. Gapiła się na niego oniemiała. Co on tu robi? Podglądał ją? Czerwona jak burak zerknęła na brzeg, gdzie leżał jej sarong i T-shirt.

– Długo tu jesteś?

– Wystarczająco długo – wyznał zgodnie z prawdą. Ostrożnie schodził po głazach, aż zatrzymał się na krawędzi niecki. Pochyli się, by obmyć obtartą rękę. – Lodowata!

Owszem, lodowata, pomyślała. Byłam zmuszona ostudzić wyobraźnię rozpaloną snem o Andrew osłoniętym jedynie ręcznikiem.

– Ale jaka to ożywcza kąpiel – skłamała.

– Brr, jak na biegunie. – Otrząsnął się.

O matko, jaki on przystojny. Jasne włosy, niebieskie oczy i ta cholerna pociągająca blizna.

– Nie gadaj, mieszczechu. Wyluzuj.

– Jak będę chciał wykapać się w przerębli, wybiorę się do Skandynawii – zachnął się, wstając i heroicznie odwracając od niej wzrok.

– Dzieciak! – Kwacząc, zatrzepotała ramionami.

– Ho, ho, ho, jaka dorosła – odgryzł się. Pływała w kółko, pokwakując i chlapiąc. Gdy ich spojrzenia się spotkały, wyczytał w jej wzroku wyzwanie. Proponowała mu coś, o czym śnił od dawna.

– Uważaj, jak cię złapię! – warknął.

– Najpierw mnie złap.

Uśmiechając się triumfalnie, zrzucił koszulę, zsunął buty, zdjął dżinsy, po czym stanął przed nią w samych obcisłych gatkach. Ani na chwilę nie przestał patrzeć jej prosto w oczy. Prowincjuszki muszą się nauczyć, że nie wolno igrać z ogniem.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Poczuła, że zaschło jej w ustach, bo nagle pojęła, dlaczego kobiety doznają zawrotów głowy. Oto stoi przed nią żywa kopia antycznej rzeźby olimpijczyka o długich nogach, pięknie zbudowanym torsie i z okazałą wypukłością w odpowiednim miejscu. Woda nagle przestała być zimna, zrobiło się wręcz gorąco.

– Georgino, jesteś tego pewna?

Już nie mogła się wycofać, nawet gdyby chciała. Zdawała sobie sprawę, co się stanie, gdy Andrew wejdzie do wody. Prawdę mówiąc, nie miała siły już z tym walczyć. Wczoraj byli tak blisko, że nie pozostaje im nic innego, jak zrobić to teraz.

Kaszłąc i prychając, wynurzył się tuż obok niej.

– To cud, że jeszcze się nie zamieniłaś w sopel lodu – powiedział, czując, jak chłód przenika go do szpiku kości.

– Co to dla mnie, mieszczechu! Wyobraź sobie, jak tu jest w zimie. – Rozchlapując wodę, odplynęła w kierunku przeciwnego brzegu.

– Pamiętaj, że w końcu cię złapię! – zawołał, czując po chwili rozlewające się po całym ciele obiecujące ciepło.

– Wiem! – odparła ze śmiechem. – Bo nie będę uciekać! Na razie przyda ci się rozgrzewka.

– Georgino, rozgrzewam się od tygodnia.

Przez kilka minut ścigał ją po całej niecce, a gdy ją dopadł, nie stawiała oporu. Zdyszani przywarli do siebie.

– Skąd masz tę bliznę? – zapytała, patrząc mu w oczy.

– Jak miałem pięć lat, chciałem sprawdzić, jak to jest, kiedy nic się nie widzi. Zawiązałem sobie oczy szalikiem. Ariel powiedziała wtedy, że jestem głupi i że zrobię sobie krzywdę, ale jej nie posłuchałem. Potknąłem się o nogę od fotela i wyrznięłem brodą w stolik ze szklanym blatem. – Uśmiechnął się szeroko. – Krew się lała strumieniami, mama krzyczała, ja ryczałem, a Ariel dostała histerii.

– Biedne dziecko. – Musnęła bliznę wargami.

– Georgino...

– George – poprawiła go.

– Jesteś dziewczyną. – Jego wargi były coraz bliżej jej ust. – Piękną, godną pożądaną... kobietą.

– Nie powinniśmy tego robić.

– Wiem. – Ale w tej samej chwili zamknął jej usta gorącym pocałunkiem, wznecając w niej pożar, który tłumila od pierwszego dnia znajomości.

Zimna woda działała na niego orzeźwiająco, ale miał spory problem techniczny: był zmuszony jednocześnie utrzymywać się na powierzchni, podtrzymywać Georginę oraz namiętnie ją całować. Groziło to utonięciem. Zdecydował się podholować ich do skalnej półki przy brzegu niecki.

– Matka natura nam sprzyja – zamruczał z uśmiechem, ledwie odrywając wargi od jej warg. – Przygotowała nam wodne łożo. – Powiodł palcem po jej koronkowym



biustonozu, a ona, czytając w jego myślach, rozpięła go i odrzuciła na bok.

Pieszcząc jej piersi i delektując się ich jędrnością, zastanawiał się, czy już przejść do rzeczy, czy jeszcze przedłużyć te rozkoszne doznania.

– O co chodzi? Dziewczyny z miasta nie przejmują inicjatywy? – zażartowała, nie mogąc doczekać się wymarzonej chwili.

– Słucham? – Podniósł na nią wzrok.

– Ja... – Nie potrafiła dłużej udawać, że panuje nad pożądaniem.

Nagle ich uszu dobiegła salwa śmiechu.

– Ktoś jest w niecce poniżej – szepnęła mu do ucha, starając się uspokoić jego oraz siebie. Wysunęła się z jego objęć i usiadła na brzegu półki, podciągając kolana pod brodę, by zasłonić nagość. – To się nazywa kubel zimnej wody na głowę – mruknęła.

– Nie szkodzi. Przecież byliśmy w wodzie. Zimnej.

– Wracajmy do obozu – rzuciła po chwili milczenia. – Zdaje się, że mogę się pożegnać z moim biustonozem.

– Niekoniecznie. Popatrz tam.

Rzeczywiście. Dwie czarne koronkowe miseczki dostojnie dryfowały pośrodku niecki.

– Popłynę po niego. – Zsunął się do wody. Skorzystała z okazji, by wyjść na brzeg i szczelnie owinać się sarongiem, bo nagle poczuła się zawstydzona i nie bardzo wiedziała, jak się zachować.

– Trzymaj. – Wyskakując z wody, podał jej biustonoz.

– Dzięki. – Gdy dotknęła jego ręki, poczuła energię nadal wyzwalaną z ich ciał pomimo radosnych wrzasków dzieci kąpiących się poniżej.

Pograżeni w myślach wracali do obozowiska. Ona wyrzucała sobie to, co się stało, ale szczerze mówiąc, było to bardzo przyjemne, on zaś nie mógł pozbierać myśli. Czy był to zdrowy sposób na rozładowanie czegoś, co od początku było nieuniknione? Może dzięki temu będą mogli teraz spokojnie pracować?

– Dlaczego wstałeś tak wcześniej?

– Sny nie dawały mi spać – wyznał z uśmiechem.

– Mnie też.

W obozowisku rozeszli się do swoich namiotów. Dobry nastrój prysł, gdy uszu Andrew dobiegł szloch Cory'ego.

– Co się stało? – Rzucił się na materac obok chłopca. Słyszając okrzyk Andrew, Georgina wsunęła głowę do jego namiotu. – Coś cię boli?

– Nie było cię! Obudziłem się, a ty zniknąłeś! Jak mama!

Andrew zdruzgotany i nękany poczuciem winy zerknął na Georginę. Cory rozpaczał, a on się z nią zabawiał.

– Cory, byłem z Georgina. Nie przyszło mi do głowy, że tak wcześniej się obudzisz. Cory, ja cię nigdy nie opuszczę. – Położył dłoń na ramieniu chłopca, ale ten ją odsunął.

Co ten biedny malec sobie pomyślał, kiedy obudziwszy się, nie zastał go w

namiocie? Wczoraj tak bardzo się zbliżyli, bardziej niż za życia Ariel, a teraz Cory znowu zamknął się w sobie.

Georgina widziała, jak Andrew przyciąga chłopca do siebie i całuje go w głowę. Wujek i siostrzeniec. Rodzina.

– Już jestem, Cory – usłyszała, wycofując się do swojego namiotu. – Nigdzie nie odejdę.

Zamknawszy się w namiocie, pokręciła głową. Jak mogli zaspokojenie swoich potrzeb stawiać wyżej niż dobro Cory'ego?

Do końca dnia Andrew nie mógł się skupić. Rozpraszał go niepokój związany z Corym oraz wspomnienie półnagiej Georginy i tego, co stało się w niecce. Nie powinien był dać się zaślepić pożądaniu, bo to dobro Cory'ego ma być jego priorytetem.

Również Georgina miała kłopot z koncentracją. Pracując w ciasnej przyczepie, co chwila wchodzili w kontakt fizyczny i wzrokowy. Czuła, że nie potrafi utrzymać dystansu. Chciała być blisko niego, dotykać go, flirtować z nim. Flirt? To nie w jej stylu. Nawet z Joelem nie flirtowała. Tutaj gra idzie o zdecydowanie wyższą stawkę. O pogrążonego w żałobie ośmioletniego chłopca. Nie powinna przywiązywać do incydentu na skałach tak wielkiej wagi.

Należy zapomnieć o tych chwilach ekstazy. On ma inne życie w Sydney, ona na farmie i w ambulatorium. Przy jej boku nie ma miejsca dla żadnego mężczyzny z miasta.

W czasie przerwy na lunch zasiedli we troje do kanapek. Georgina z podziwem się przysłuchiwała, jak Andrew wytrwale zagaduje chłopca, by wyciągnąć go ze skorupy, w której znów się zamknął.

– Cory, co byś powiedział na to – Andrew podjął nowy temat – żebyśmy po powrocie do domu oprawili portret Georginy i powiesili go w salonie, żeby nam stale przypominał o tej wyprawie do buszu?

Z radości mało nie padł na kolana, gdy chłopiec przestał żuć kanapkę i po raz pierwszy od rana oderwał wzrok od ziemi.

– Naprawdę? Myślisz, że jest taki dobry, że można go powiesić na ścianie?

Żeby chłopca zachęcić, Andrew energicznie pokiwał głową. Nareszcie poczuł, że znowu nawiązuje z nim kontakt.

– Oczywiście. Georgino, co ty o tym sądzisz?

– Takie arcydzieło powinno wisieć w galerii sztuki – powiedziała, serdecznie się uśmiechając.

Cory powiódł po nich spojrzeniem.

– Fajnie. Jak wrócimy do domu.

Dobrze, że nie zauważyli, jak jej uśmiech zgasł. Do domu, pomyślała. Do Sydney. Do siebie. A ona zostanie tutaj i też będzie robić swoje. To, co się wydarzyło wczoraj i tego poranka, sprawiło, że byłaby zapomniała, że nie jest częścią ich życia oraz że wcale nie chce nią być.

Zabrała się do zmywania po posiłku.

– Dzięki. – Andrew stanął tuż obok. – Ty zawsze wiesz, co powiedzieć.  
– Nie ma sprawy – powiedziała, nie podnosząc wzroku, pochłonięta tym bardzo ważnym zajęciem.

Obserwował ją.

– Powiedz coś o tym, co wydarzyło się rano. Tylko nie to! – pomyślała. Od rana stara się usunąć to z pamięci. To była pomyłka.

– Sądzę, że powinniśmy o tym zapomnieć.

– Potrafisz?

Przesadnie zamaszystym ruchem rzuciła sztućce na suszarkę.

– Andrew, nie jesteśmy dziećmi – rzuciła zniecierpliwionym tonem.

– Mam nadzieję, że kiedy będę stary, siwy i za pan brat z niejakim Alzheimerem, będzie to jedyne wydarzenie, które pozostanie w mojej pamięci – wyznał, zniżywszy głos. – Żałuję, że moje życie tak się pogmatwało. Przykro mi... To przyszło nie w porę...

– Daj spokój. – Westchnęła. – Ty masz swoje zobowiązania, ja swoje. Takie jest życie. – Sięgnęła po ściereczkę i zaczęła wycierać naczynia.

Obudził ją o normalnej porze sen o Andrew. Zwinęła się w kłębek, by nie odczuwać dokuczliwego napięcia w dole brzucha wywołanego snami o kąpieli pod wodospadem.

Co się z nią dzieje? Czy niczego jej nie nauczyły przejścia z Joelem? Zakochiwanie się w drugim z kolei facecie z miasta to szaleństwo. To dwa różne światy. On przywykł do neonów, galerii handlowych oraz teatrów, a tutaj nie ma nic takiego.

Za to są inne atrakcje. Zdecydowanie lepsze.

Niepowtarzalne noce przy ognisku; Bomber, który przywozi wytęsknione paczki z towarami z katalogów firm wysyłkowych; magiczne obrzędy aborygenów połączone z tańcami, w których tęnią tajemnicze rytmy natury.

Wyszła przed namiot. Stojąc boso, czuła pod stopami chropowatość ziemi. Ma tę ziemię we krwi, każdą komórką ciała odbiera zew tej krainy. Nie umiała wyjaśnić, na czym ta więź polega. Była tak nieuchwytna jak nić w pajęczynie: delikatna, ale wytrzymała.

Tutaj od dawna mieszka jej rodzina, tutaj, w tej czerwonej ziemi, została pochowana matka. Jej miejsce jest tylko tutaj i nic tego nie zmieni. Ma tutaj wszystko, czego potrzebuje: pracę, rodzinę, przyjaciół. Ma pieniądze, żywność, piękny dom. Widzi, zdrowie jej dopisuje, nic jej nie ogranicza. Ma lepiej niż tysiące innych ludzi. Czuje się potrzebna i to nadaje sens jej życiu.

Więc skąd to uczucie niedosytu? Dlaczego jakiś przejezdny lekarz sprawił, że zatęskniła za czymś więcej?

Z zadumy wyrwało ją szczekanie psa. Trzeba brać się do pracy. Najpierw muszą zbadać wszystkich operowanych poprzedniego dnia, a potem zwinąć obóz i ruszyć w drogę. Od Byron dzieliło ich pięćset kilometrów. Na myśl, że wraca do domu,

poczuła, że krew szybciej krąży jej w żyłach.

Kiedy wjeżdżali w obejście, z radością dostrzegła całą rodzinę, która wyległa przed dom, by powitać ich konwój. Tego wymaga staroświecka gościnność. Spoglądając na nich przez zakurzoną szybę, uzmysłowiła sobie, że to, co jest dla niej ważne, znajduje się właśnie tutaj. Ojciec, brat, Charlie, Mabel oraz profesor, którego niedawno wypisano ze szpitala, wszyscy szeroko uśmiechnięci machali im na powitanie.

Zerknęła na Andrew, który pomagał Cory'emu pozbierać rzeczy. On też ma rodzinę i zobowiązania. Przeniosła wzrok na Charliego, który jak szalony wymachiwał ramionami. To jest najważniejsze. To jej rodzina i jej obowiązki.

Charlie wybiegł im naprzeciw. Postawiwszy stopy na ojcowskiej ziemi, oparła się o auto, by zamortyzować impet, z jakim Charlie rzucił się jej na szyję.

– George, George, czy on przyjechał?

Tydzień wcześniej poinformowała go przez telefon, że przywiezie mu kolegę, i najwyraźniej od tej pory nie przestawał o tym myśleć, bo tęsknił do kontaktów z rówieśnikami.

– Tak, Charlie, przyjechał! – odparła ze śmiechem. – Opanuj się, bo go wystraszysz!

– Witaj, nasza kochana Georgie. – Profesor pocałował ją w policzek.

Od razu rzuciło się jej w oczy, jak dobrze szef wygląda. W głębi serca obawiała się, że już go nie zobaczy, ale teraz był pełen życia. Gdy się rozchorował, musiał być skrajnie przemęczony. Trzeba szybko szukać następcy.

– Harry, wyglądasz jak pączek w maśle. Cieszę się, że odpoczywasz w Byron.

– Mabel nawet nie chciała słuchać o innym rozwiązaniu – odparł tubalnym głosem.

– I tak zostanie, Harry Jamesie – pogroziła mu Mabel, ściskając Georginę.

Lata temu profesor usunął jej zaćmę i od tej pory była jego zagorzałą wielbicielką. Już Mabel dopilnuje, żeby jadł, jak należy.

Andrew uścisnął dłoń profesora.

– Aż miło popatrzeć, jak dobrze wyglądasz.

– Czuję się jak młody bóg – odparł profesor, bijąc się w pierś. – Jak wyjedziesz, przejmę wszystkich pacjentów.

Georgina już otworzyła usta, ale Mabel ją ubiegła.

– To się zobaczy, Harry Jamesie, to się jeszcze zobaczy.

Andrew parsknął śmiechem na widok obrażonej miny profesora, mimo to ani na chwilę nie zapomniał o Corym, który stał u jego boku. Zauważył, że cierpliwość Charliego jest na wyczerpaniu.

– Cześć, Charlie – odezwał się. – To jest Cory. Charlie podszedł do nich i wyciągnął do Cory'ego rękę.

– Cześć.

Gdy Cory zastanawiał się, jak zareagować, dorośli umilkli. Dwaj ośmioletni

chłopcy. Skrajnie różni. Rudzielec i blondyn. Jeden ze wsi, drugi z miasta. Wszyscy dorośli zostali wtajemniczeni w sytuację, więc teraz czekali z zapartym tchem. Cory podał rękę Charliemu.

– Cześć.

Uścisnęli sobie dłonie, a dorośli odetchnęli z ulgą.

– Masz rude włosy – zauważył Cory. – Jak George.

– Mój tata też jest rudy. To on – wyjaśnił Charlie, wskazując na Johna.

Cory milczał przez chwilę.

– A gdzie twoja mama? Dorośli znowu wstrzymali oddech.

– Umarła. – Charlie wzruszył ramionami.

– Moja też.

– Na co? Andrew zeszywniał.

– Przejechał ją samochód. A twoja?

– Rozbił się jej samolot.

Przez chwilę obaj kiwali głowami jak dwoje dorosłych ubolewających nad cenami bydła lub nad sytuacją na giełdzie.

– Chcesz obejrzeć mojego konia? Możesz się na nim przejechać. – Pierwszy odezwał się Charlie.

Cory pokręcił głową.

– Mogę go namalować? – zapytał.

– Dobra – odparł Charlie po namyśle.

– Najpierw musicie coś zjeść – oświadczyła Mabel.

– Dobra – zgodził się Charlie, biorąc ją za rękę. Mabel podała drugą rękę Cory'emu, który posłusznie ruszył z nią w stronę domu.

– Niech mnie kule biją! – Andrew nie mógł się nadziwić, jak szybko Charlie i Mabel zdobyli zaufanie jego siostrzeńca. – Dzieci zawsze tak na nią reagują?

– Tak – odrzekła krótko Georgina. Wiedziała, że gospodyni kocha dzieci. To wielka szkoda, że jest bezdzietna.

– Kto ma ochotę na drinka? – rzucił ojciec Georginy, zacierając dłonie i szeroko się uśmiechając.

Rozległ się szmer aprobaty. Po trzech tygodniach w „abstynenckich” wioskach perspektywa zimnego piwa była wyjątkowo kusząca.

Weszli do domu, gdzie Georgina długim korytarzem poprowadziła Andrew do pokoju, w którym miał zanoć.

– Gdzie ulokujemy Cory'ego? – zapytała. – Charlie mnie błagał, żeby Cory zamieszkał w jego pokoju, ale mu powiedziałam, że to dopiero się wyjaśni.

Słusznie. Andrew ostrożnie usiadł na łóżku, by wypróbować sprężyny. Prawdziwe łóżko z prawdziwym materacem. Luksus. Nie miał nic przeciwko polowym warunkom, skądże, był przyjemnie zaskoczony, ale dzięki temu doświadczeniu w buszu jeszcze bardziej docenił dobrodziejstwa cywilizacji.

– Pod wieczór go zapytam, gdzie chce spać.

W pokoju z wielkim łóżem oboje poczuli się nieswojo.

– Zejdź do nas na drinka, jak się rozgościsz – mruknęła i pospiesznie wyszła, nie czekając na odpowiedź.

W buszu, w nocy dzieliło ich tylko płótno namiotu, ale tu jest jej dom, jej rodzina. Kiedy Andrew wyjedzie, jego wspomnienie zostanie w tym pokoju, w całym domu i tym trudniej będzie jej o nim zapomnieć.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dwa tygodnie minęły jak z bicza strzelił. Co parę dni Mabel i Jim przywozili mikrobusem kilkunastu pacjentów, którzy nocowali w namiotach rozbitych przez brata i ojca Georginy. Ona i Andrew pracowali niemal bez wytchnienia, ale rekompensatą za ten trud była radość pacjentów, gdy dzień po zabiegu zdejmowano im opatrunek.

Cory. W ciągu tych kilkunastu dni zaszła w nim niewyobrażalna zmiana. Zaprzyjaźnił się z Charliem, ponieważ zapewne połączył ich brak matki. Cory śmiał się częściej, mówił więcej, jadł. Malował rzadziej, ale za to jego obrazy były barwne, odwagą kolorystyczną przypominały prace Ariel.

Jego mużką stała się Mabel. Jeśli nie bawił się z Charliem, malował gospozię: z robótką, w kuchni lub drzemającą na leżaku na werandzie. Najwyraźniej już pierwszego dnia, kiedy podała mu rękę, uznał ją za swoją adoptowaną babcie. Zapewne pociągał go w niej jej spokój oraz bezwarunkowa akceptacja.

Czas wypełniały mu zajęcia nieistniejące w Sydney: rzucał ziarno kurom i zbierał jajka, karmił butelką cielęta, towarzyszył parobkom. Profesor oprowadził obu chłopców po przyczepie i opowiedział im parę krwawych historii związanych z operowaniem oczu. Co więcej, każdego ranka razem z Charliem Cory brał udział w lekcjach radiowej szkoły. Tę przemianę zawdzięczał Georginie.

Georgina. Teraz rozmawia z Megan. Ciągle pamiętał smak jej warg i chłodną skórę. Śnił o niej co noc. Mimo poczucia winy z powodu tego, co zastał, gdy wrócili spod wodospadu, wiedział, że łączy ich coś, czego nie potrafi zignorować. Wiedział także, że ona też jest tego świadoma. Sytuacja jednak była beznadziejna. Niestety, takie jest życie, jak zauważyła Georgina.

Czuła na sobie jego spojrzenie. Chyba oszaleje! Jeżeli Andrew przyśni się jej jeszcze jeden raz, zacznie krzyczeć. O drugiej nad ranem była bliska wtargnięcia do jego sypialni z żądaniem, by dokończył to, co zaczął. Ale teraz jego naczelnym priorytetem jest siostrzeniec i niczego więcej nie powinna od niego oczekiwać.

Okej, przygody jednej nocy nie są w jej stylu, ale ona potrafi się dostosować. Bez tego w buszu się ginie. Poza tym ona nigdy nie ucieka przed problemami, zawsze bierze byka za rogi. Ale jak o to poprosić? Obawiała się też ewentualnych skutków ubocznych.

Pozwoli mu wyjechać, nie zaznawszy rozkoszy w jego ramionach? Z tej rozterki wyrwało ją brzęczenie telefonu. Dzwoniła ciotka Andrew, więc przekazała mu słuchawkę. Idąc w jego stronę, musiała się pilnować, by za bardzo się nie wyprostować ani nie kołysać biodrami.

– To Peggy. – Oddała mu słuchawkę.

– Halo. – Nadal poźerał ją wzrokiem, a ona poczuła, że kolana się pod nią uginają. Nie mogła ruszyć się z miejsca.

– Zamknęli Wendella na pięć lat za fałszowanie obrazów. Właśnie podali to w

wiadomościach – mówiła ciotka.

Na te słowa oprzytomniał.

– Co takiego?!

Z uwagą wysłuchał pełnej relacji. Prawdę mówiąc, ostatnio Wendell nie zaprzętał jego uwagi. Należał do spraw, które obiecał sobie załatwić po powrocie do Sydney, ale ta wiadomość wprawiła go w stan uniesienia. Doskoczył do Georginy, ujął jej twarz w dłonie i niezdarnie pocałował. Nie szkodzi. Porwał ją w ramiona i zakręcił.

– Co się stało? Postaw mnie! – wołała, zanosząc się śmiechem.

Ostrożnie opuścił ją na ziemię i jeszcze raz pocałował. Tym razem jak należy.

– Wendell był niegrzeczny – oznajmił. – I kilka najbliższych lat spędzi za kratkami.

Oszołomiona pocałunkiem, z trudem chwyciła powietrze. O Boże, jak ona go pożąda.

– Co byś powiedział, gdybym dzisiaj zabrała cię na dawno obiecany biwak pod gwiazdami?

Nieoczekiwana propozycja przywołała go do porządku. Georgina, nie spuszczać z niego wzroku, ciepło się uśmiechała. W jej oczach wyczytał to, na co czekał.

– Bardzo chętnie.

O piątej po południu byli gotowi do wyjazdu. Cory, o dziwo, nie protestował, co świadczyło o tym, jak bardzo stan jego duszy się poprawił. Mabel wręczyła im koszyk z jedzeniem.

– Wyjeżdżamy tylko na jedną noc – broniła się Georgina, niemal uginając się pod ciężarem prowiantów.

Gospośia wzruszyła ramionami.

– Nasi goście nie mogą chodzić głodni – odparła z godnością.

Gdy Georgina wstawiała kosz do auta, Mabel położyła Andrew dłoń na ramieniu.

– Uważaj na naszą dziewczynkę – rzekła półgłosem. Spoglądając na jej pomarszczoną twarz, dostrzegł w jej oczach przychylną zmieszaną z dozą niepokoju.

– Będę uważał – obiecał.

Chwilę później na podwórzu zajechał ojciec i brat Georginy.

– Wybieracie się na przejażdżkę? – zapytał ojciec.

– Tak. Muszę pokazać temu mieszcuchowi, co to znaczy prawdziwy biwak pod gwiazdami.

Ojciec uniósł koszyk.

– Faktycznie, to będzie bardzo trudna próba przetrwania – powiedział, wybuchając śmiechem. Podał rękę Andrew. – Opiekuj się moją córą.

Ten męski uścisk trwał ułamek sekundy za długo, co kazało Andrew przeanalizować spojrzenie starszego pana. Nie żartował, mimo że Andrew pierwszy raz w życiu miał do czynienia z kobietą tak samodzielną. Lecz nie to miał na myśli ojciec Georginy.

– Tato! – ofuknęła go. – Przecież ja tu sobie daję radę sto razy lepiej niż Andrew.



– Nie o to mi chodziło. – Nie spuszczać z niego wzroku, nareszcie uwolnił jego dłoń.

Omiotła spojrzeniem Andrew, ojca oraz brata, który również z powagą przyglądał się Andrew. Poczwała, że się czerwieni.

– Ja mam trzydzieści jeden lat! – warknęła, po czym ze złością pociągnęła Andrew za rękaw. – Jedziemy. – Niemal wepchnęła go do samochodu. – Przepraszam za ten spektakl – odezwała się jakiś czas później, gdy mknęli przez pastwiska.

– Nie ma za co. – W rzeczywistości bardzo ujęła go ta scenka rodzinna. – Oni czuwają nad tobą. – Tak jak kiedyś on nad Ariel.

– Wiem, co robię.

Żeby nie myśleć o nadchodzącej nocy, ochoczo wyskoczył z auta, by otworzyć bramę.

– Mam wrażenie, że jestem tu po raz pierwszy. – Rozejrzał się dokoła.

– Ech, wy mieszcuchy. Zupełnie nie orientujecie się w terenie. Masz rację, jesteś tu po raz pierwszy. Jedziemy nad rzekę na południowym krańcu farmy.

– Masz na myśli konkretne miejsce, czy zatrzymamy się tam, gdzie się nam spodoba?

– Wiem, dokąd jedziemy. To mój ulubiony zakątek. Wyjątkowy...

Patrzył na jej piękne włosy, na rozkosznie wykrojone wargi, na wesołe oczy. Pokaże mu swój ulubiony zakątek.

– Tak jak ty... – Poglądził ją po policzku.

Trzy kwadranse później zatrzymała się z bijącym sercem pod eukaliptusami nad rzeką.

– Kąpiemy się? – zapytał, z uśmiechem wysiadając z auta, urzeczony pięknem rzeki w promieniach zachodzącego słońca.

Odpowiedziała mu śmiechem.

– Jak chcesz być karmą dla krokodyli, to wskakuj.

– Tu są krokodyle?

– Bardzo żarłoczne.

– Dobra, rezygnuję z pływania.

– Lepiej byś, mieszcuchu, pozbiierał trochę drewna na ognisko.

Idąc za jej przykładem, zbierał patyki, kawałki kory, suche liście, potem pomógł jej wyładować pokaźne polana z bagażnika samochodu. Przystanął w miejscu, gdzie przyklekła, kilka metrów od auta i spory kawałek od rzeki.

– Nie lepiej rozbić obóz pod drzewem? Rano mielibyśmy cień. – Podawał jej polana. – Uważasz, że to za blisko rzeki?

– Nie, tu nie chodzi o krokodyle. – Uniosła do góry dwa palce. – Po pierwsze, korony drzew zasłonią nam niebo, a po drugie, drewno eukaliptusa jest bardzo kruche i były setki przypadków biwakowiczów śmiertelnie przygniecionych spadającymi konarami.

Zdaje się, że tu jest bardziej niebezpiecznie niż w mieście, pomyślał.

– Krokodyle, spadające konary... Czego jeszcze powinienem się wystrzeżać?

– Trzymaj się mnie, a nic złego cię nie spotka.

– Nie omieszkam – odparł z szerokim uśmiechem. Jeśli ten żar, który w niej rozgorzał z powodu jego bliskości, nie przygaśnie, nie będzie potrzebowała zapalek, żeby rozpaść ognisko.

– Pomóc ci? – zapytał, gdy złamała drugą zapalną.

– Nie trzeba. – Zerknęła na niego z powątpiewaniem.

– No, może jestem mieszcuchem, ale umiem rozpaść ognisko. Byłem skautem.

Parsknęła śmiechem.

– Ale nikt was nie ostrzegł przed krokodylami ani eukaliptusami? Jak chcesz się przydać, to przynieś z auta koszyk Mabel.

– Masz szczęście, że nie mam kompleksów.

Łaska boska. Joel bardzo cierpiał, kiedy żartowała, że nie potrafi znaleźć się w buszu. Bardzo szybko zrezygnowała z takich aluzji. Andrew nimi się nie przejmował, śmiał się z tego i potrafił dowcipnie się odciąć. To, że nazywała go mieszcuchem, nie zagrażało jego męskości ani godności.

– Zobaczmy, co nam Mabel przygotowała. – Uniósł wieko koszyka. – Obrusik w czerwonej kratce, a pod spodem? Kawał sera, chrupiący chleb... Mm, nawet wino. I dwa kieliszki!

Ogień już buzował, więc nareszcie zadowolona z siebie, przysiadła obok niego. Podał jej butelkę i korkociąg.

– Co jeszcze tam mamy?

– Parówki, jajka... To chyba z myślą o śniadaniu. A w tym pojemniku? – Uniósł pokrywę. – Wygląda jak spaghetti bolognese. Pachnie smakowicie.

– Wszystko, co Mabel ugotuje, jest pyszne. – Podała mu kieliszek z winem. – Widzę, że w tym ostatnim pudełku jest słynny suflet Mabel, czekoladowy z rumem i rodzynkami. To moja największa słabość.

– Za co wzniesiemy toast? Zawahała się.

– Za dobre jedzenie.

– Może za nasze słabości?

Podniosła kieliszek do ust. Czy są piękniejsze chwile? Ognisko, zachód słońca, dobre wino i fantastyczny mężczyzna.

– Co sprawia, że to miejsce jest wyjątkowe? Poza spadającymi gałęziami i krokodylami.

– Niedaleko stąd... Pokażę ci to rano.

– Często tu przyjeżdżasz?

– Nie tak często, jak bym chciała.

– Czuję się wyróżniony tym, że mnie tu przywiozłaś.

– Słusznie. – Uśmiechnęła się. – Przed tobą nikomu tego miejsca nie pokazałam.

Blask od ogniska migotał na jej włosach.

– Nawet Joelowi? – Kretynie, chcesz pomsuć ten wieczór? – Kilka razy ktoś o nim wspomniał – wyjaśnił pospiesznie.

– Nawet Joelowi. Nie przepadał za buszem.

– Wolał światła wielkiego miasta?

– Można tak to określić.

Już jakiś czas wcześniej zdał sobie sprawę, że wszyscy porównują go z Joelem. Domyślał się też, że uwagi ojca Georginy oraz Mabel również miały z nim związek. Skoro jest poddawany nieustannej ocenie, to chyba ma prawo wiedzieć jak najwięcej.

– Co się stało? Rzucił cię?

– Wolałabym o tym nie rozmawiać. Delikatnie pociągnął ją za kosmyk włosów.

– Georgino, między nami coś się dzieje. Może się nam to nie podobać, może to jest nierozsądne, ale tak jest. Przez Joela trzymasz mnie na dystans. Chciałbym zrozumieć dlaczego.

No cóż, on ma rację.

– Poznaliśmy się w Darwin, dwa miesiące później się zaręczyliśmy. Był fantastyczny. Szalały za nim wszystkie kobiety w szpitalu, ale on wybrał mnie. – Popatrzyła na Andrew, szukając zrozumienia w jego oczach. – Potem zginęła Jen, więc na jakiś czas wróciłam do Byron. Joel nie miał nic przeciwko temu. Wszystko się zmieniło, kiedy zachorowała nasza matka. Wyjechałam z Darwin, żeby się nią opiekować. Joel miał mi to za złe. Przez pół roku kursowałam między nim i matką. Stale się kłóciliśmy. Przez ostatni miesiąc, kiedy matka umierała, ani razu do niego nie pojechałam. Nie chciałam jej zostawiać... Nie mogłam.

Musiała wtedy podtrzymywać na duchu brata oraz ojca, którzy kompletnie się rozsykali, jednocześnie opiekując się siostrzeńcem i matką. Była na skraju wyczerpania. Potrzebowała wsparcia ze strony Joela, ale on ją zawiódł.

– Nawet nie przyjechał na pogrzeb mamy. Tego dnia zrozumiałam, że między nami koniec. – W jej oczach lśniły łzy.

Co za drań!

– Współczuję ci. Domyślałam się, jak bardzo przeżyliście śmierć matki i Jen – szepnął.

Dlaczego Joel tego nie powiedział? Łzy popłynęły jej po policzkach. Tylko tego wtedy od niego oczekiwała.

Zrozumienie w oczach Andrew ośmieliło ją do dalszych zwierzeń.

– Tydzień później poroniłam. Nawet nie wiedziałam, że jestem w ciąży. Pigułka okazała się nieskuteczna. To był kolejny wstrząs.

To wyjaśniało, dlaczego tak lubi otaczać się dziećmi. Biedna Georgina.

– Powiedziałaś mu?

– Nie.

Rozpląkała się na dobre, więc przygarnął ją do siebie, a ona oparła mu głowę na piersi. Nareszcie mogła opłakać siostrę, matkę i utracone dziecko. Wylewała Izy, których nie mogła pokazać ojcu, bratu ani siostrzeńcowi, bo dla nich musiała być silna.

Kołysał ją, cierpliwie czekając, aż się uspokoi.

– Przepraszam. Nie wiem, co mi się stało. Ja nigdy nie płaczę.

– Może na tym polega twój problem? Każdemu wolno płakać.

Uśmiechnęła się przez łzy.

– Nie tutaj. Pamiętaj, że wychowałam się wśród mężczyzn. Tutaj nadal wszyscy wspominają, jak spadłam z konia, złamałam rękę i nie uroniłam ani jednej łzy.

Pogładził ją po głowie.

– Nawet tacy twardziele jak ty muszą od czasu do czasu popłakać. Jak będziesz w potrzebie, służę ramieniem.

I tak z tego nie skorzystam, bo wyjeżdżasz, pomyślała.

– Podgrzeję spaghetti. Dolejesz nam wina? – odezwała się kilka minut później.

Zgodnie z jej opinią spaghetti okazało się wyśmienite. To prawda, Mabel gotuje jak nikt inny. Jako bywalec pewnej pięciogwiazdkowej restauracji w Sydney Andrew uznał, że dania tam serwowane nie umywają się do jej kuchni. Pozwolił sobie nawet wytrzeć kawałkiem chleba resztki sosu, czego nigdy by nie zrobił w Sydney. Odstawił miseczkę i się położył, by popatrzeć na rozgwieżdżone niebo.

– Znasz się na gwiazdach?

– Nie bardzo – odparła, układając się obok z miną kobiety, która robi to co wieczór. – Bomber jest ekspertem w tej dziedzinie. Moja wiedza jest ograniczona.

Poczuł jej ciepło i zapach.

– To jest Krzyż Południa. – Wskazał na pięć gwiazd tuż nad horyzontem.

– Doskonale, mieszczechu.

Rozleniwiona, z pełnym żołądkiem, delektowała się brzmieniem jego głosu. W pewnej chwili odwrócił głowę, by na nią popatrzeć, i się uśmiechnął, po czym zacytował:

– „*Idzie w Piękności jak noc, która kroczy  
W cichym gwiazd gronie przez bezchmurne kraje;  
Co cień i światło w sobie kras jednoczy,  
To w jej obliczu i w jej oczach taje...*”<sup>1</sup>

– „I razem spływa w taki stan uroczy – podjęła. – Jakiego niebo dumie dnia nie daje. „ To mój ulubiony wiersz. Pamiętasz, jak idzie dalej?

– „Mniej jednym blaskiem, więcej jednym cieniem... „

Roześmiała się.

– Wystarczy! Wierzę, że znasz go do końca. Pora na deser.

Potem jedli mus czekoladowy i prowadzili poważną dyskusję na temat sposobów pieczenia słodkich pianek nad ogniskiem: on był zwolennikiem powolnego topienia nie za blisko płomieni, ona pieczenia, aż cały cukier się skarmelizuje.

– Skosztuj – zachęcała go, podając mu do ust swój ulubiony przysmak.

– Mmm, niezłe. – Nie spuszczał z niej wzroku. – Ale to jest lepsze. – Ściągnął z patyka słodką piankę upieczoną jego metodą i zmysłowym ruchem włożył jej do ust, a ona z rozkoszy przytknęła oczy. Gdy podniosła powieki, wpatrywał się w kącik jej warg.

– Masz tu... – rzekł półgłosem, po czym bez słowa ujął jej twarz w dłonie i powoli zlizął okruch słodkiej pianki. Gdy cicho westchnęła, zrozumiał, że i ona go pożąda.

– Nie powinniśmy tego robić – szepnął. – Wynikną z tego same kłopoty.

– Wiem. – Musnęła go wargami.

– Nie zostanę w Byron.

– Wiem. A ja stąd nie wyjadę.

– Rozumiem. Ale oszaleję, jeżeli nie będę się z tobą kochał.

– Więc mamy dla siebie tylko tę noc. – Uśmiechnęła się i zaczęła namiętnie go całować. Odważnie wsunęła mu dłonie pod dzinsy, by poczuć gładkość jego ciała i by jeszcze mocniej przyciągnąć go do siebie.

– George... Chcę cię oglądać. Całą – wyszeptał. Uniosła się na łokciu i bez wahania ściągnęła koszulkę, a on drżącymi palcami rozpiął jej biustonosz.

– Jesteś piękna. – Wargami wielbił jej ciało. Sprawił, że w tej chwili naprawdę czuła się piękna pomimo piegów, dużej pupy i rudych włosów. Chciała chwilę dłużej napawać się tym komplementem, ale zaczął całować jej piersi, zakłócając tok jej myśli.

Z każdą minutą stawała się istotą pierwotną, która spełnia swoją podstawową funkcję, a świadkiem tego aktu były tylko gwiazdy migoczące na nocnym niebie. Przeistaczała się w kobietę jaskiniowca, która dogadza swojemu samcowi.

Nim się zorientowała, była kompletnie naga.

– To niesprawiedliwe – zaprotestowała. – Ja też chcę cię oglądać. – Uau! – wykrztusiła, gdy zrzucił ubranie.

– To ty tak na mnie działasz.

Usiadła, by pogłodzić wewnętrzną stronę jego uda.

– Georgino...

– Chodź do mnie. Teraz.

Posłusznie wykonywał jej polecenia. Jej zdławiony szepł przyprawiał go o szaleństwo, a napięcie w lędźwiach narastało. Fala rozkoszy zbliżała się nieuchronnie, lecz Georgina ogromnym wysiłkiem woli opóźniała tę chwilę. Jeśli ma go tylko tej nocy, niech trwa to jak najdłużej.

Kiedy wbił jej lekko zęby w szyję, tama puściła.

– Andrew!

Przed oczami zatańczył jej kalejdoskop barw. Nareszcie zrozumiała, co to znaczy zobaczyć wszystkie gwiazdy. Rozkosz niczym płomień tętniła jej w żyłach, przeszywała mięśnie. Oddychając ciężko, Andrew trzymał w ramionach jej rozedrgane ciało, wyobrażając sobie, że są Adamem i Ewą w ogrodach Edenu. Gdy opadł na plecy, mrugające gwiazdy zdawały się mówić: „Nie zdradzimy waszej tajemnicy”.

– Chyba cię kocham – rzucił w mrok. Uśmiechnęła się. Tej nocy weźmie jego słowa za dobrą monetę wdzięczna losowi, że dane jej było je usłyszeć. W blasku dogasającego ogniska, pod wygwieżdżonym niebem wszystko wydaje się możliwe.

<sup>1</sup> [Wiersz „She Walks In Beauty” George’a Byrona w tłumaczeniu Stanisława Koźmiana (przyp. tłum).

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Dokąd się wybierasz? – wymamrotał, nawet nie otwierając oczu i przyciągając ją do siebie.

– Pora wstawać.

Otworzył jedno oko. Nad horyzontem majaczyła różowawa poświata.

– Jeszcze nawet nie świta. – Jego umysł nadal spał, czego nie można było powiedzieć o innych częściach ciała.

– Zawsze wstaję przed świtem.

– No to co? Jest niedziela. Gdzieś musisz jechać?

– Nie, ale na wsi wstaje się razem z ptakami.

– Nie słyszę żadnych ptaków.

– Taki mam zegar biologiczny.

– Widzę, że trzeba go przestawić. Zaaplikuję ci najlepsze lekarstwo na długie spanie – powiedział, nakrywając ją sobą.

Po raz drugi obudziła się, gdy słońce było już całkiem wysoko.

– Wstawaj, śpiochu. – Pocałowała jego bliznę, po czym oparła głowę na jego piersi, nasłuchując bicia serca.

– Która godzina?

– Koło ósmej. – Wydostała się ze śpiwora. Stała nad nim roześmiana i zupełnie naga.

– Wracaj natychmiast.

– Nie. Wstawaj. – Zbierała swoją garderobę. Speszona, że Andrew jej się przygląda, cisnęła mu na głowę koszulę.

– Ej, podobał mi się ten widok – zawołał ze śmiechem.

Oddaliła się dostojnym krokiem z ubraniem pod pachą.

Nie, nie, nie. Wstań i się ubierz. Nie myśl o tym. Nie psuj tego wspomnienia zastanawianiem się nad przyszłością. Ociągając się, włożył koszulę oraz spodnie i zabrał się za rozniecanie ognia.

Rozmawiając, żartując i śmiejąc się, wspólnie przygotowali śniadanie. Andrew nie miał ochoty wracać do Byron. Nie chciał, żeby to się skończyło.

– Wyjedź ze mną – powiedział nagle.

Serce jej zadrzało, mimo że rozum podpowiadał, że nic z tego nie będzie. Wstała.

– Daj spokój. Pakujemy się. Chcę ci coś pokazać. Uwinęli się błyskawicznie. Na koniec zalali pogrzelisko wodą i przysypali piachem.

– Dokąd jedziemy? – zapytał, wsiadając do auta.

– Zobaczysz.

Jechali przez jakieś pięć minut, podczas których Georgina starała się zapomnieć o propozycji, którą złożył jej przy śniadaniu. Ten romans jest skazany na fiasko. Miała nadzieję, że Andrew wkrótce zrozumie dlaczego. Nagle ostro zahamowała i wyskoczyła z samochodu.

– Co robisz?!

Wróciła chwilę później z bukietem fioletowych i żółtych kwiatków.

– Trzymaj.

Niedługo potem dojechali do głównej drogi łączącej zagrody farmy Byron, przejechali przez chybrotliwy mostek i skierowali się na zachód. Zatrzymali się w cieniu pod rozłożystym drzewem.

– Wsiadaj. – Wyjęła mu z ręki bukiet.

Ujrzał niski płotek z kutego żelaza, a za nim kamienie nagrobne. Cmentarz. Dookoła rosły wysokie eukaliptusy, tworząc niewielką oazę cienia.

Georgina otworzyła skrzypiącą furtkę, a on przystanął i patrzył w milczeniu, jak układa kwiaty na trzech grobach.

– To groby Jen i twojej matki? – zapytał, gdy wróciła.

Przytaknęła. Gdy stali tak objęci, zorientował się, że na cmentarzu leżą prawie wyłącznie członkowie jej rodziny. Pochowano tam nawet ulubione zwierzaki Lewisów.

– Kim był Floyd Granger? – zapytał, spoglądając na trzeci nagrobek, na którym położyła kwiaty.

– Mąż Mabel.

– Co mu się stało? – Przeczytał na nagrobku, że mężczyzna zmarł dwadzieścia lat wcześniej.

– Spadł z konia, którego ukąsił wąż, i skrzył sobie kark. To była nagła śmierć.

Nad głowami szeleściły liście kołysane lekkim powiewem wiatru.

– Ładnie tu. Przytaknęła.

– Aborygeni uważają to miejsce za święte. Także dla mnie ta ziemia jest święta.

– Rozumiem.

– Tu jest mój dom.

Bez trudu pojął podtekst jej słów.

– Dom jest tam, gdzie jest serce.

– Moje serce jest tutaj – oświadczyła, kopnąwszy ziemię zakurczonym butem. – Mam tę krainę we krwi. Tutaj się urodziłam i tutaj jest pochowana moja matka.

– Nie proszę cię, żebyś na zawsze opuściła Byron – odparł ze ściśniętym sercem.

– Sześć lat temu, w tym miejscu przysięgam sobie, że już nigdy z Byron nie wyjadę.

– Nawet z miłości? Odwróciła twarz.

– Zwłaszcza z tego powodu.

– Jestem inny niż Joel – powiedział cicho. Westchnęła.

– Wiem. Wiem to od dawna, a ta noc to potwierdziła. Joel nocował wyłącznie w pięciogwiazdkowych hotelach.

Kretyn.

– Zadowalał się pięcioma, mając szansę na pięć miliardów?

Uśmiechnęła się blado.

– Gdybyś tu został, miałbyś je co noc.



Jaka ona piękna. I prosi go, żeby nie wyjeżdżał.

– Muszę.

– Z powodu Cory’ego?

– Tak. Oraz przez pamięć Ariel. – Błagał ją wzrokiem o zrozumienie. – Obiecałem jej... że będę się starał zmieniać świat na lepsze.

– Przecież to robisz... tutaj.

– Miałem zapobiegać retinopatii u wcześniaków.

– Andrew, miałeś wtedy pięć lat. Myślisz, że Ariel chciałaby, żebyś robił coś, czego nie lubisz? – Nie znała Ariel osobiście, ale wiedziała, że jej brat na pewno by się nie zgodził, by robiła dla niego coś wbrew sobie.

– Jasne, że nie, ale to ja już w łonie matki przyczyniłem się do zahamowania jej rozwoju. To ja już dwa dni po narodzeniu byłem w domu, a ona została w szpitalu. To ja widzę. I nadal żyję. Wiem, że to irracjonalne, ale czuję, że muszę jakoś się odplacić. Ariel była moją bliźniaczą siostrą. – Położył rękę na sercu.

Zrozumiała, że poczucie winy każe mu zrezygnować z szansy na nowe życie na rzecz zobowiązania podjętego wobec siostry.

– Wiem, że lubisz pracę w buszu. Kiedy praca w Sydney dawała ci tyle satysfakcji? Andrew, życie jest bardzo krótkie.

Stanął przed nią i ujął jej twarz w dłonie.

– Prosisz mnie o to, żebym zrezygnował ze wszystkiego, co dla mnie najważniejsze.

– A ty masz prawo prosić mnie o to samo?

– Podejrzewam, że mam bardziej niż ty związane ręce.

Miała ochotę krzyknąć.

– Tak... Joel też tego nie rozumiał.

O Boże, zlekceważył wszystko, co starała się mu przekazać, przywożąc go na cmentarz.

– Przepraszam, głupio powiedziałem. Proponuję kompromis. Będziemy się odwiedzać.

Ręce jej opadły.

– To się nie uda – powiedziała cicho.

– Uda, jak się postaramy.

– Andrew, sama podróż z Byron do Sydney zabiera dwa dni. Przecież nie będziesz za każdym razem woził ze sobą Cory’ego, a to oznacza, że to ja będę was odwiedzać. Już to ćwiczyłam. Z czasem zaczną się kłótnie. Cała znajomość będzie się obracać wokół tego, czego nie możemy zrobić. Znudzi cię to, a potem zacznę cię drażnić.

– Nie mów tak. Pamiętasz, co powiedziałem wieczorem? Już nie mam wątpliwości, Georgino, że cię kocham. Pomóż mi, proszę.

– Ja ciebie też kocham – wykrztusiła przez ściśnięte gardło. – Ale nie będę kursować między Byron i Sydney. Rozumiem, że masz zobowiązania w Sydney, aleja mam je tutaj. Nie każ mi z nich zrezygnować.

Ona go kocha?

– Co wobec tego zrobimy? Wzruszyła ramionami.

– Przeżyjemy ten tydzień, a potem dodamy ten układ do listy życiowych doświadczeń. Jak osoby dorosłe. Ty pójdiesz swoją drogą, ja swoją.

– Do kitu.

– Zgadzam się.

– Naprawdę mnie kochasz? – Położył jej rękę na ramieniu.

– Naprawdę. – Pocałowała go. Był to wyjątkowo gorzko-słodki pocałunek.

– Nie chcę nie móc cię całować – szepnął.

Po południu wpatrywał się tępo w bardzo interesujący artykuł poświęcony najnowszym badaniom w dziedzinie retinopatii.

Georgina, Mabel i chłopcy krzatali się w warzywniku, a John naprawiał coś w warsztacie.

Ta idylla trwała do chwili, gdy na werandę wpadł Charlie.

– Cory'ego ugryzł wąż! – zawołał zapłakany. Andrew zdrętwiał z przerażenia. Cory?!

– Gdzie? – zerwał się z fotela.

– W ogrodzie.

– Biegnij obudzić Profa. Poproś, żeby wziął ze sobą apteczkę. – Puścił się biegiem do ogrodu, usiłując zebrać myśli, zachować się jak na lekarza przystało. W oddali, pośrodku zagonu sałaty, dostrzegł Georginę pochyloną nad chłopcem.

– Spokojnie – odezwała się Mabel, trącając butem nieżywego węża. – To niejadowity pyton.

Zerknął na Georginę, która przytaknęła, kołysząc w ramionach przerażonego Cory'ego. A gdyby ukąsił go wąż jadowity? Czy potrafiłby żyć dalej ze świadomością, że zawiódł chłopca? Że zawiódł Ariel?

– Wujku, czy ja umrę? Jak mama?

– Nie umrzesz. Na pewno. Słyszałeś, co Mabel powiedziała? Ten wąż nie był jadowity, prawda, Mabel?

– Absolutnie – radośnie potwierdziła gosposia. – Już mu to mówiłam. Od lat tu mieszkam i znam się na węzach. Taki wąż ukąsił mnie ze sto razy.

Andrew darzył ją pełnym zaufaniem. Żeby być bliżej siostrzeńca, przykucnął obok Georginy.

– Cory...

– Wujku, ja chcę do mamy! – Szlochając, chłopiec wysunął się z objęć Georginy i padł w ramiona Andrew.

Andrew oniemiał. Na tę chwilę czekał od wielu miesięcy. Poczuł, jak i jemu łzy napływają do oczu.

– Ja też za nią tęsknię.

Poruszona do głębi, Georgina dotknęła jego ramienia, po czym wstała. Chciała się oddalić, by im nie przeszkadzać, ale ją zatrzymał. Gdyby nie ona, nie doszłoby do

tego zbliżenia. Poradzą sobie we dwóch. Po raz pierwszy od śmierci siostry nabral takiego przeświadczenia, a zawdzięcza to Georginie. Kobiecie, którą pokochał i z którą pragnie iść dalej przez życie. Objął ją i przyciągnął do siebie. Nieważne, co przyniosą kolejne dni, bo teraz we troje są tak sobie bliscy, jak to tylko możliwe.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

W trakcie ostatniego tygodnia przyjęli trzy grupy pacjentów, więc pracowali od świtu do nocy. Któregoś dnia Jim przywiózł do Byron Bobby'ego na badanie kontrolne. Andrew nie mógł się nadziwić, ile szczęścia miał młody amator krykieta. W szpitalu stwierdzono wprawdzie poważnego krwaka przedniej komory, ale gdy Andrew badał chłopca, krew już zdążyła się wchłonąć, a widzenie okazało się zaskakująco dobre, mimo że prawdopodobnie zawsze będzie nieco upośledzone. Przez jakiś czas chłopak powinien regularnie zgłaszać się na kontrolę do ambulatorium. Skoda, pomyślał Andrew, że mnie tu już nie będzie.

Dobrze jednak, że wyjeżdża. Czuł teraz, że Cory i on stanowią rodzinę oraz zrozumiał, że jeśli się kogoś kocha, nie oczekuje się, że zostawi dla nas swoich najbliższych.

Gdy tydzień dobiegł końca, przyszła pora się spakować i wracać do Sydney. Ostatniego wieczoru Mabel wystąpiła z pożegnalną kolacją.

– Mabel, to nie było konieczne – sumitował się na widok zastawionego stołu.

– A jakże – obruszyła się gosposia. – Jak by to wyglądało, gdyby moi ulubieńcy wyjechali bez należytego pożegnania.

Cory promieniał.

Siedzieli przy stole całą gromadą, śmiali się, żartowali, gawędzili. Czując, jak zbliża się chwila rozstania, Andrew postanowił na zawsze zachować ten obraz w pamięci. Gdy w końcu udało mu się zapędzić do łóżek dwóch protestujących chłopców i wrócić na werandę, okazało się, że reszta towarzystwa, oprócz Geroginy, poszła w ich ślady.

Podawała mu drinka, a on bez wahania go przyjął. Czuł, że chce ten ostatni wieczór w buszu spędzić z ukochaną kobietą niezależnie od wszelkich przeciwności losu.

– Zasnęli? – zapytała.

– Nareszcie. – Skrzywił się. – Cory płakał. Nie chce wyjeżdżać.

– Wiem. Charlie też nie chce się z nim rozstawać. Zrób mu przyjemność i zostań z nami.

– Nie mogę. – Wzruszył ramionami. – Cory tego nie docenia, ale robię to dla niego. Zrozum, chcę dać mu to, co najlepsze, więc muszę dobrze zarabiać. Praca z wami dawała mi ogromną satysfakcję, ale potrzebuję lepszego zabezpieczenia materialnego.

– Nie zgadzam się z tobą. – Kurczowo zacisnęła palce na barierce werandy. On zapomina o najważniejszym. – Przestań myśleć o materialnych potrzebach Cory'ego. Nie kombinuj, do której szkoły go pošlesz ani do której partii kiedyś wstąpi. On ma osiem lat... Zastanów się nad jego potrzebami emocjonalnymi. Tak naprawdę on potrzebuje tylko ciebie. Dopóki ma ciebie, będzie szczęśliwy.

Teraz może tak, ale jak będzie nastolatkiem?

– Tutaj nie jest bezpiecznie. A gdyby ten wąż okazał się jadowity? – Ciągle miał w pamięci ten dramatyczny incydent.

– Ale się nie okazał. Chcesz mi wmówić, że w Sydney nic złego nie może go spotkać? W mieście jest tyle samo zagrożeń co w buszu.

– To prawda, ale w mieście są karetki i szpitale, a tutaj... pomoc medyczna trafia się sporadycznie.

Ogarnęła ją bezsilność.

– Wiem jedno: Cory był zupełnie innym chłopcem, kiedy tu przyjechał. Chcesz powiedzieć, że Byron nie ma z tym nic wspólnego?

– Georgino, zdaję sobie sprawę, że to zasługa Byron, Mabel oraz Charliego, a przede wszystkim twoja. Będę ci za to dogonnie wdzięczny, ale nasze drogi się rozchodzą. Czeka na mnie praca w Sydney.

– Która śmiertelnie cię nudzi – zauważyła, nie kryjąc goryczy. – Jak sądzisz, co byłoby ważniejsze dla Ariel: realizacja twojego marzenia sprzed trzydziestu lat czy szczęście jej syna?

– Oczywiście szczęście jej syna, ale jak sama powiedziałaś, ja sam wystarczę mu do szczęścia.

Zamknęła oczy. Wyczerpała wszystkie argumenty. On wie lepiej.

O poranku przyszło im się pożegnać, bo Darren już czekał, by odwieźć ich do Darwin.

– Harry, dziękuję ci z całego serca. – Andrew uściśnął dłoń profesorowi. – Dużo się tu nauczyłem. Nigdy nie zapomnę tego pobytu w buszu.

– To ja tobie jestem wdzięczny. Andy, spisałeś się na medal. Jesteś pewny, że nie dasz się namówić, żeby tu zostać?

– Harry, przykro mi, ale muszę jechać.

Ojciec i brat Georginy podali mu dłoń bez słowa.

Wyczuł ich rezerwę i wiedział, że stoją murem za Georginą.

Mabel wręczyła mu koszyczek.

– Żebyście mieli na drogę. – Mocno przytuliła Cory'ego.

Chłopcy podali sobie dłonie, jak przystało na prawdziwych kowbojów.

– Będzie mi ciebie brakowało – powiedział Charlie. – Przyślij mi emaila.

Georgina z ciężkim sercem czekała na swoją kolej. Nie wolno jej się rozpląkać. Andrew uważa, że postępuje słusznie i wcale nie jest mu lekko, więc nie będzie dokładała swoich babskich łez. Musi mu ułatwić to rozstanie. Podobno jeśli się kogoś kocha, należy dać mu wolność.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy, a ona pogładziła go po bliźnie na brodzie.

– Uważaj na siebie – powiedziała opanowanym tonem, muskając wargami jego policzek. – Darren się niecierpliwi.

Zrozumiał. Jedź. Poradzę sobie. Jestem silna.

Zapewne była to tylko maska, ale taka, która ułatwiła mu rozstanie. Wziął Cory'ego za rękę i poprowadził do auta. Odjechali. Jakaś część jej serca odjechała razem z nimi. No cóż, zakochali się wbrew zdrowemu rozsądkowi, a teraz przyjdzie

im za to zapłacić.

Nie minęły dwa tygodnie, a Andrew miał kompletnie dosyć Sydney. Tęsknił za Georgina. Do szafu doprowadzały go korki na ulicach, a wieżowce przyprawiały o klaustrofobię. Tęsknił za buszem, zapachem ziemi, otwartą przestrzenią.

Nienawidził swojej pracy, tego, że jest przewidywalna i monotonna, że pacjenci są kolejnymi przypadkami, a nie ludźmi, którzy mają rodziny, przyjaciół i swoje lęki. Był znudzony i nieszczęśliwy. Czy robiłby to, gdyby Ariel żyła? Czy Ariel by chciała, żeby tak się męczył?

Do tego wszystkiego Cory całymi dniami chodził naburmuszony. Każdego wieczoru, udając, że ogląda z siostrzeńcem telewizję, wpatrywał się w portret Georginy, który zawiesili na ścianie w salonie. Spoglądała na niego, uśmiechając się szeroko. Oddałby wszystko, by opuściła ramy i zstąpiła do jego salonu.

Ostatnia kropla się przelała, gdy pewnego wieczoru Cory podczas kolacji się rozplakał.

– Nie lubię Sydney – szlochał. – Ja chcę do George. I do Charliego. I do Mabel.

Tulił zapłakane dziecko, spoglądając na portret Georginy. Co jest ważniejsze? Marzenie sprzed trzydziestu lat czy Cory? Odpowiedział jej wtedy, że dopóki będą razem, Cory będzie zadowolony. Ale Cory nie był zadowolony, ani on.

Na szczęście wiedział, jak temu zaradzić.

Położywszy Cory'ego spać, zatelefonował do Byron. Odebrała Mabel.

– Mówi Andrew. Zastałem Georginę?

– Andrew, jak miło cię słyszeć – ucieszyła się gospośnia. – Niestety, pojechała z Profem. Wróci dopiero za tydzień.

– Będę u was jutro.

– Z Corym?

– Oczywiście.

– Przyjeżdżacie na krótko? – zapytała podchwytliwie.

– Mam nadzieję, że nie.

– Wyślę po was Darrena. Wysadzi Cory'ego u mnie, a potem ty pojedziesz do Georginy.

Zadowolony odłożył słuchawkę. Po raz pierwszy od dwóch lat czuł, że podjął właściwą decyzję.

W kłębach pyłu Darren zajechał do wioski, w której Andrew znalazł się po raz pierwszy. Darren prowadził samochód z taką samą brawurą jak Bomber samolot, więc Andrew z ulgą stanął na twardej ziemi, witany przez Jima i Megan.

– Georgina jest z Profem, tam – powiedział Jim, szeroko się uśmiechając.

Szedł z bijącym sercem i żołądkiem ściśniętym niepewnością, jednocześnie wszystkimi zmysłami odbierając bodźce wysyłane przez otoczenie. Słyszał brzęczenie owadów i krzyk ptaków, czuł zapach ziemi i eukaliptusów, zauważył nawet zmianę temperatury, gdy zarośla zgęstniały.

Za zakrętem dojrzał rozlewisko. Słyszał dziecięcy pisk i śmiech. Georgina była blisko.

Potem zobaczył profesora, który siedział pod drzewem z kapeluszem zsuniętym na twarz, a dalej, w wodzie, Georginę, która z małą dziewczynką na plecach płynęła ku przeciwległemu brzegowi. Na jego widok dzieci umilkły, a ona, zaniepokojona nagłą ciszą, się odwróciła.

– Georgino! – zawołał. Jaka ona piękna.

Z wrażenia o mało nie utopiła swojej podopiecznej. Jak ja wyglądam?!

– Andy! – Profesor wstał i uradowany powoli ruszył mu na powitanie. – Zostajesz u nas?

– Mam nadzieję – odparł, spoglądając na Georginę.

– Bardzo dobrze. Szukasz roboty?

– Owszem – przyznał ze śmiechem. – Od wczoraj jestem bezrobotny.

– Wspaniale. Możesz mnie zastąpić. Zauważył, że Georgina przyjęła to z kamienną twarzą.

– Będę zaszczycony. Ale jest jeden warunek: czy Georgina mnie zechce.

Profesor popatrzył na nią z czułością, po czym mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Byłaby durna, gdyby cię nie zechciała. Dzieciarnia, idziemy! – ryknął w stronę jeziora. – Robicie taki rejwach, że nie da się wędkować. Dajcie spokój Georginie. – Odczekał chwilę, po czym poprowadził całą zgraję w stronę wioski.

Andrew i Georgina zostali sami.

– Wróciłem. – Sięgnął po jej ręcznik. – Porozmawiamy?

Pokręciła głową. Nie była przygotowana na spektakularne wyjście z wody jak na filmach z Jamesem Bondem. Andrew wpatrywał się w nią tak, że poczuła się naga pomimo bardzo przyzwoitego jednocześnie czarnego kostiumu.

– Dlaczego wróciłeś?

– Bo cię kocham i nie mogę żyć bez ciebie.

– Nie zamierzam przenosić się do miasta.

– Wcale o to nie proszę.

– A Cory? I kruczata przeciwko retinopatii? Wzruszył ramionami.

– Sama mi to powiedziałaś, a poza tym Ariel na pewno by chciała, żeby Cory był szczęśliwy, a w Sydney cierpiał. Obaj cierpieliśmy. Zrozumiałem w końcu, że mimo wszystko chcę być okulistą, a wasze ambulatorium przywróciło mi miłość do tej pracy. Myślę, że Ariel byłaby zadowolona, że nareszcie znalazłem swoje miejsce.

– A węże? Brak usług medycznych, szkół i najnowszych zdobyczy cywilizacji? Cory miał mieć wszystko co najlepsze – wypomniała mu.

Uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

– Pewna rudowłosa kobitka pouczyła mnie, że Cory'emu wystarczy ja. Miała rację. Innymi problemami zajmę się w miarę, jak będą występowały. Chcę, żebyś mi w tym towarzyszyła.

Serce biło jej jak szalone.

– A jeśli powiem, że się spóźniłeś? Ze mam dosyć nieszczęśliwej miłości?

– Biorąc pod uwagę, na co cię naraziłem, byłbym zmuszony się z tym pogodzić. – Bardzo chciał ją pocałować, dotknąć jej. – Ale już stąd nie wyjadę. Zostałem następcą Profa. Wyjdiesz na brzeg, czy mam iść do ciebie?

Nie dowierzała własnym uszom.

– Boję się, że to sen i jak wyjdę, to znikniesz.

– Wobec tego wchodzę. – Zanurkował, żeby wynurzyć się tuż obok. – Powiedz, że mnie kochasz.

Dotknęła jego blizny.

– Przecież wiesz, że tak.

– Chcę to usłyszeć – nalegał.

– Kocham cię. – Pocałował ją delikatnie. – Jesteś pewien, że będziesz tu szczęśliwy? Z daleka od blasku i szumu wielkiego miasta?

– Chcę być tam, gdzie ty. Cory też nie lubi miasta.

Obu nam spodobało się życie w buszu. Poza tym kocham ciebie i pracę w ambulatorium i chcę kontynuować dzieło Profa.

Serce drżało jej z radości. Oto Andrew uwolnił ją od wielkiego ciężaru, jakim była dla niej przyszłość poradni. Profesor nareszcie poświęci się łowieniu ryb.

– Jak chcesz, możemy czasami wybrać się do miasta – zaproponowała. – Chętnie się ukulturalnię i zajrzę do paru sklepów. Raz albo dwa razy w roku.

Uśmiechnął się, bo i on nie lubił zakupów. Przytulił ją wniebowzięty.

– Wyjdiesz za mnie, prawda?

– Zdecydowanie. Czy mogłabym pozbawić Mabel przyjemności wyprawienia wesela w Byron?



## EPILOG

Gdy kwartet smyczkowy odegrał marsza weselnego, goście zebrani pod białym namiotem umilkli. Zdenerwowany pan młody obejrzał się, by zerknąć na swoją wybrankę.

Najpierw ich oczom ukazali się Charlie i Cory w identycznych białych garniturkach. Kroczyli po czerwonym chodniku równym krokiem jak dwa małe roboty, rozrzucając płatki róż.

W pewnej odległości za nimi szła Georgina. Miała na sobie kremową suknię z jedwabiu, z dużym dekoltem oraz górą wyszywaną połyskującymi kryształkami. W dłoniach trzymała wiązanek czerwonych gerber, żywo kontrastującą z suknią.

Na widok Andrew, który na nią czekał przed ołtarzem, miała ochotę do niego podbiec, ale ojciec, wyczuwając jej pośpiech, z uśmiechem zwolnił kroku. Uważał, że pannie młodej należy się uroczyste wejście.

Chwilę później przekazał jej dłoń panu młodemu i oto znalazła się u boku kochanego mężczyzny, by związać się z nim na wieki.

Po akcie zaślubin wzruszeni goście w liczbie dwustu słuchali, jak Andrew recytuje „Idzie w Piękności...”, jako uzupełnienie przysięgi małżeńskiej.

Gdy przypieczętował ją namiętnym pocałunkiem, zebrani nagrodzili go oklaskami i gwizdami. Potem młoda para porwała Charliego i Cory'ego w ramiona, by wszystkim pokazać, że od tej chwili cała czwórka stanowi jedną rodzinę.

Kołysząc się w tańcu w objęciach Andrew po weselnej kolacji, Georgina uśmiechała się, szczęśliwa, że nareszcie znalazła mężczyznę, którego kocha i w którym zawsze będzie miała oparcie.

Mimo że to mieszczech.